

245 /  
4

# Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

## Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3

Za odosłanie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . .	rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . .	rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . .	rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.



REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI.

WYDAWCA: KAZIMIERA GADOMSKA.

---

Redakcja i Administracja Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88,  
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

<http://rcin.org.pl>

DRUK EDWARDA NICZA i S-ki, NOWY-ŚWIAT 70.

*W. Czerniowski*

№ 470.

# **Biblioteka Dzieł Wyborowych.**

---

JERZY KENNAN.

---

# SYBERYA

PRZEŁOŻYŁ K. Ł.

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.

==== CZĘŚĆ IV. ====

**Cena 40 kop.**

**W prenum. 30<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop.**

WARSZAWA

Redakcja i Administracja Warecka 14.

1907

1871

SYBERRYA



JERZY KENNAN.

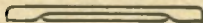


# SYBERYA

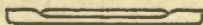
PRZEŁOŻYŁ K. Ł.

z przedmową

**Zdzisława Dębickiego.**



CZĘŚĆ IV.



CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55  
tel. 0 22 69-78-773



Wa5149778

WARSZAWA  
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.

<http://icn.org.pl>  
1907.



245

NH-41699/Ts  
Akce/4/398/51

<http://rcin.org.pl>

## **W kopalniach srebra we wschodniej Syberii.**

Po przybyciu z okręgu Kary do Sretińska czułem się tak bardzo wyczerpanym, że musieliśmy przede wszystkim należycie wypocząć. Wzruszenia i umartwienia najrozmaitsze osłabiły mnie do tego stopnia, że nie byłem zdolny do zrobienia dwustu kroków lub do włożenia futra bez pewnego wysiłku. W tym stanie dalsza podróż do kopalni w Nerczyńsku, na trzęsącym się wozie, przez pustą i dziką okolicę, na przestrzeni 1000 kilometrów, byłaby przedsięwzięciem zbyt ryzykownem. Odpoczywaliśmy więc u młodego chłopca przez trzy dni, jedliśmy tyle, ile dostać można było, spali tak długo, jak się dało, i wzmacnialiśmy się chininą i mięsnym ekstraktem.

W niedzielę czułem się już bardziej rzeźkim. Po lodowej powłoce rzeki przeszedłem do leżącego na przeciwnym brzegu Sretińska, gdzie odszukałem okręgowego naczelnika policyi, chcąc dostać konie do dalszej podróży. Gubernator zawiadomił nas bo-

wiem telegraficznie, że możemy przy wynajmowaniu koni uciec się do pośrednictwa policyi, ponieważ w obrębie kopalni nerczyńskich komunikacja pocztowa jest niezmiernie utrudniona; oprócz tego otrzymaliśmy od majora Potulowa listy polecające do urzędników policyjnych, jakich mogliśmy spotkać po drodze. Naczelnik przyjął mnie uprzejmie i uczynił natychmiast odpowiednie przygotowania; przytem udzielił mi nieprzyjemnej wiadomości, że na przestrzeni między Sretińskiem a kopalniami panuje ospa, że nie radziłby nam przeto nocować w chłopskich chałupach ani nawet wstępować do nich. Podróż do kopalni srebra przedstawiała przy najlepszych warunkach dosyć trudności, a teraz mieliśmy być pozbawieni schronienia i pożywienia, lub też wystawieni na niebezpieczeństwa zarażenia się tą straszną chorobą.

Z początku miałem zamiar pojechać do Nerczyńska wprost i zwiedzić kopalnie od tej strony, lecz byłoby to dużem nadłożeniem drogi, a ponieważ Frost oświadczył, że nie boi się zarażenia, pozostaliśmy więc przy naszym pierwotnym planie. Popołudniu, ułożywszy nasze pakunki na małym wozie, uwiązaliśmy z tyłu worek z zamarzłym chlebem, na którym nie mogliśmy siedzieć; z obdartym, bojaźliwym woźnicą, poganiającym parę koni, odjechaliśmy w stronę fabryki Aleksandrowskiej i kopalni Ałgaszyńskiej.

Nerczyńskie kopalnie srebra leżą w pewnem oddaleniu od miasta i rozciągają się one na całą wielką przestrzeń dzikiej, górzystej okolicy, tworzącej okręg nerczyńskich kopalni. Na południu gra-



niezają one z Mongolią i zajmują większą część trójkąta, który tworzy Szilka z Argunem i Amurem. O istnieniu rudy srebra i ołowiu musieli już wiedzieć pierwotni mieszkańcy Syberyi, gdyż pierwsi rosyjscy badacze znaleźli w pobliżu Argunu ślady pierwotnego górnictwa.

W roku 1700 założyli greccy górnicy, będący w służbie rosyjskiej, w pobliżu mongolskiej granicy, hutę nerczyńską, a nim stulecie dobiegło do końca, otwarto między Szilką i Argunem około dwudziestu szybów i puszczono w ruch osiem wielkich pieców. W pierwszych czasach w kopalniach pracowali tylko chłopci, których sprowadzano ze wszystkich części Syberyi i często gwałtem zmuszano do osiedlania się tam; w roku 1722 jednak, używano już do tego skazańców z więzień europejskiej Rosyi. Od tego czasu pracowali w kopalniach częściowo chłopci, a częściowo przestępcy, skazani na ciężkie roboty. Z politycznych przestępców było wśród nich kilku „dekabrystów” i wielu Polaków. Po powstaniu polskiem w r. 1863 zesłano tutaj kilka tysięcy powstańców, później jednak polityczni przestępcy transportowani byli przeważnie do okręgu Karskiego <sup>1)</sup>.

Najbliższym naszym celem była osada Aleksandrowsk, położona blisko o 200 kilometrów od Sretniska. Wielkie piece, którym miejscowość ta

<sup>1)</sup> Według danych wspomnianego tu często dzieła Maksimowa, zesłano w latach między 1863 a 1868 — 18,623 Polaków, z których 8,199 do wschodniej Syberyi, a 7,109 skazanych na ciężkie roboty, przeważnie do kopalń Nerczyńskich-

zawdzięcza swą nazwę i znaczenie, dawno już są nieczynne i w zupełnym upadku, lecz wioska istnieje dalej; znajduje się w niej małe więzienie, które chcieliśmy zwiedzić. Oprócz tego przedstawiała nam się teraz najlepsza okazyja zwiedzenia słynnej niegdyś, obecnie zasypanej kopalni Akatui.

Gdy opuszczaliśmy Sretińsk było mroźno, lodowaty wiatr północno-wschodni dął silnie i niebo było zachmurzone. Pagórki po prawej i lewej stronie drogi pokrywała warstwa śniegu, lecz sama droga była sucha, tak, że unoszący się z pod kół naszych kurz pokrył nas całych. Po przebyciu 30 kilometrów uczuliśmy głód i zimno, lecz wioska, w której zmienialiśmy konie, była jak wymarła; zostaliśmy więc na wozie. Woźnica utrzymywał wprawdzie, że epidemia nie jest złośliwa, co wywołało uwagę Frosta, iż rzecz ma się prawdopodobnie tak samo, jak z robactwem syberyjskiem, które mieszkańcom wydaje się zupełnie nieszkodliwem a obcego przybysza na śmierć zamęczyć może. Do wioski Kopun, gdzie znowu zmienialiśmy konie, przybyliśmy o zmierzchu. Temperatura spadła do zera Fahrenheita i byłem tak przemarznięty, że wprost się ruszać nie mogłem.

— Nie mogę dłużej — rzekłem do Frosta. — Mamy doprawdy śliczny wybór: ospę lub zmarznięcie. Trzeba będzie do następnych drzwi zapukać i spytać, czy tam panuje ta przeklęta choroba; jeżeli nie, to wejść, zagrzeję się i poproszę o coś do jedzenia.

Zapukałem; jakaś szczupła kobieta otworzyła mi drzwi.

— Czy jest w waszym domu chory na ospę?—  
spytałem.

— Tak, jest! — odpowiedziała.

Nie czekając dalszego ciągu, pobiegłem do Frosta z zawiadomieniem, że znajdujemy się rzeczywiście między Scyllą a Charybdą, a co się tyczy naszego głodu, to musimy się zadowolić chlebem z worka. Tutaj okazała się nowa bieda—chleb był zmarznięty i oprócz tego pokryty skorupą kurzu. Wzięliśmy każdy po bułce i gryźliśmy je, drżąc z zimna, siedząc w zmroku i czekając trzy kwadransy na zaprzęzenie innych koni. Nareszcie doczekaliśmy się ich i udali w dalszą podróż. Po długiej nieprzyjemnej drodze przybyliśmy około 9-ej wieczorem do Szelapuginy, malej stacyi pocztowej, między Nerezyńskiem a kopalnią. Pocztmistrz zapewnił nas, że tutaj nie było jeszcze ani jednego wypadku ospy. Weszliśmy więc do izby, aby się napić herbaty, poczem udaliśmy się na spoczynek, mając, jak zwykle, podłogę za posłanie. Pokrzepieni wypoczynkiem i dobrem śniadaniem, puściliśmy się nad ranem w dalszą drogę.

Przez cały dzień jechaliśmy wśród nagich pagórków. Słońce świeciło jasno, ale zimno było dotkliwie a odczuwaliśmy je tem silniej, że na trzęsącym wozie niepodobna było otulić się szczelnie w futra. Wieczorem przybyliśmy do wioski Kawikuezigasamurskaja, która nie miała prawdopodobnie tylu mieszkańców, ile liter w swej nazwie. Tutaj spotkaliśmy młodego technika z Petersburga; wysłany on był do kopalni w celu nauczania skazańców



jak mają obchodzić się z dynamitem; znajdował się on już w drodze powrotnej.

Opowiadania jego o stosunkach w kopalniach nie były zbyt zachęcające. Więzienia, jak utrzymywał, są „najgorsze w całym państwie”, urzędnicy „okrutni i ciemni”, a z więźniami „obchodzą się źle i biją ich wszyscy bez powodu”. Nawet podczas choroby zmuszają ich do pracy, a wypadki śmiertelne z dynamitem są częste wskutek ciemnoty i lekkomyślności nadzorców, którzy zaniedbują koniecznych środków ostrożności. O zwierzechności górniczej wyrażał się meprzychylnie, widocznie stosunek jego do niej nie należał do przyjaznych.

Następnej nocy przybyliśmy do Makarowa, wioski odległej o 180 kilometrów od Sretnska. Przenocowaliśmy w „Kwaterze ziemskiej”, drewnianym domu, zamieszkałym przez rodzinę chłopską, a w którym podróżujący urzędnicy mają prawo żądać mieszkania i zaopatrzenia w potrzebne im przedmioty. Wypiliśmy herbatę i ułożyliśmy się do snu, Frost na podłodze, ja zaś na ławce, stojącej pod oknem. W izbie było gorąco, napelniał ją zapach żywiczny desek sosnowych. Było duszno i długi czas nie mogłem zasnąć. Gdy mi się to jednak udało, obudziło mnie głośnie pianie w najbliższym moim sąsiedztwie. Zastanawiałem się z kąd ono pochodzić mogło i znalazłem pod moim posłaniem kojec, z którego wychylił głowę duży kogut — a, przypuszczając widocznie, że to już rano — piał mi poprostu w ucho. Pomimo, że przeniosłem się w przeciwną kąt izby, nie mogłem już zasnąć, tembardziej, że kogut piał wytrwale do samego ra-



na. Zdarzało mi się często nocować w syberyjskich chatach z różnego rodzaju zwierzętami, ale tak, jak ten jeden kogut, nie mogłoby chyba dać mi się we znaki żadne z czworonogów z arki Noego.

We wtorek przed południem przybyliśmy do osady Aleksandrowskiej, mającej 200 do trzystu mieszkańców, mizernej wioski, pośród martwego stepu, z zapadłym mostem na froncie i śnieżnymi pagórkami w oddali. Po więzieniu oprowadzał nas dyrektor Fomin.

Było ono czemś w rodzaju przytulku dla inwalidów, do którego przyjmowano starych schorowanych więźniów z całego okręgu górniczego Nerczyńska. Główny jednopiętrowy drewniany budynek mieścił 137 aresztantów; miał z pół wieku i był tak niehygieniczny jak sobie tylko wyobrazić można. Podłogi były brudne, powietrze zepsute, korytarze przesycone zaduchem kubłów z nieczystościami.— W dwóch celach znajdowali się pomiędzy więźniami i obłąkami.

Oddział dla chorych był mały, lecz nie przepelniony i wydał mi się stosunkowo czysto utrzymany. Grube powleczenia na pościel były brudne i nas odnośną uwagę z mojej strony otrzymałem od powiedź od dozorey, że to nie jego wina, że wydawania bielizny bardzo skąpią. Ucieszył się, gdy mu powiedziałem, że jego oddział jest wprawdzie mały ale uważam go za najlepiej utrzymany ze wszystkich, jakie widziałem w Zabajkalskim kraju.

Po oględzinach więzienia udaliśmy się do mieszkania dyrektora, gdzie zastaliśmy isprawnika, wy-

smukłego, czterdziestoletniego blisko człowieka, który miał właśnie zamiar udać się w podróż inspekcyjną po swoim okręgu. Był on bardzo rozmowny i wypowiadał zupełnie otwarcie swoje zdanie o kopalniach nereczyńskich. Uważał on zarząd ich za „ociężały, wadliwy i kosztowny”; utrzymywał, że lepiej byłoby powierzyć prowadzenie przedsiębiorcom prywatnym.

Niektórzy z państwowych inżynierów górniczych za mało znali się na rzeczy i byli zbyt sprzedajni, by kopalnie przynosiły dochód. Jako przykład przytoczył mi, że dwie kopalnie złota w jego okręgu badane były przez cesarskich <sup>1)</sup> inżynierów którzy uznali je jako bezwartościowe.

Sprzedano je za tanią cenę osobom prywatnym, którym przyniosły 600 pudów czystego złota. Wprawdzie isprawnik nie wypowiedział tego wprost, ale ze słów jego można było wywnioskować, iż, jego zdaniem, inżynierzy i nabywcy kopalni złota, działali w porozumieniu między sobą i że podzielili się zyskami. Ja zaś nie wątpię, że tak było—wszak cesarza okradają prawie wszyscy urzędnicy sycberyjscy.

Po doskonałym obiedzie pojechaliśmy w towarzystwie isprawnika i dyrektora do kopalni Akatui, odległej o blisko 18 kilometrów. Kopalnia ta była wprawdzie, jak już wspominałem, oddawna zapusz-

<sup>1)</sup> Prawe wszystkie kopalnie tej części kraju Zabajkałskiego stanowią, jak i kopalnie Kary,—prywatną własność cesarza i są znane pod nazwą „Kopalni Gabinetowych“.

czona, i zalana wodą, byłem jednak ciekawy poznać ją z tego względu, że dawniej uchodziła ona za najokrutniejsze miejsce zesłania w całej Syberyi i że teraz rząd znowu czynił przygotowania, aby politycznych przestępców z okręgu Kary tam posyłać.

Na przestrzeni 10 do 12 kilometrów droga prowadziła przez jednostajny step, a następnie przez płaską dolinę okoloną zaśnieżonymi pagórkami, które zasłaniały dalszą perspektywę. Dolina ta zacieśniała się coraz bardziej, aż o jakie 3 kilom. od wioski Akatui zamieniła się w ponury wąwóz, którego jedyną roślinnością były skarłowaciałe, огоłocene z liści krzaki. Bardziej ponurego i osamotnionego kawałka ziemi w życiu nie widziałem. Miałem wrażenie, że jesteśmy na polach lodowych Grenlandyi.

Oto stare więzienie—rzekł isprawnik, wskazując na nawpół rozwalony drewniany budynek, leżący przed nami. Z boku ujrzelśmy dwie przybudówki z cegły, zupełnie zniszczone, jedna z nich nawet dachu nie miała. Dawniej było to wszystko prawdopodobnie oparkanione, a drewniany domek mógł służyć straży za koszary. Teraz śladu nie było z oparkanienia, kraty w oknach też zniknęły i niełatwym zadaniem byłoby poznać z tych pozostałych resztek, pierwotne ich przeznaczenie.

Wszedłem do więzienia, mając nadzieję, że znajdę jakiś napis na murze lub ujrzę jeden z tych żelaznych pierścieni, do których przykuwano raz na zawsze więźniów. Lecz nic z tego! Żelazta, mogące być użytkowane na cośkolwiek, wyniesiono, podłogi zbutwiały, tynk z murów odpadł, nie pozost



stało nie, co mogłoby ilustrować smutną historię tego więzienia, żadnego świadka okrucieństwa, którym tak się wslawiło więzienie w Akatui. Drugi budynek więzienny w lepszym był stanie i oględziny byłyby prawdopodobnie wykazały niejedną ciekawą szczegół, lecz drzwi i okna były szczelnie pozamykane i dyrektor utrzymywał, że nie wie, gdzie są klucze i w jaki sposób moglibyśmy wogóle znaleźć wstęp.

Wejście do kopalni Akatui znajdowało się na pagórku o 200 metrów po nad dnem doliny.— Zmierzch już był zapadł, zauważyłem jednak jeszcze małą budę drewnianą przy wejściu do szybu. Gdyby nie było zapóźno byłbym zaproponował obejrzenie; ściemniało się jednak i było zimno, a isprawnik i dyrektor chcieli powracać do osady. Zadowolnilem się więc tem, co widziałem.

Lunin, jeden z dekabrystów w 1825 r. odbywał tutaj ciężkie roboty i tutaj umarł; wielu polskich patriotów, zesłanych do Akatui po powstaniu 1863 r., znalazło w tej okolicy ostatnie miejsce spoczynku. Nie mogłem dostrzedz żadnego śladu tej przeszłości. Ponad spróchniałemi kośćmi bohaterów nie wznosi się mogiła, gdyż biurokracya rosyjska nie ma chęci utrzymywać żywych wspomnień po tych, którzy się w więzieniach syberyjskich na śmierć zamęczyli.

Od czasu mego powrotu z Syberyi wybudowano w tym smutnym wąwozie nowe więzienie przeznaczone dla politycznych przestępców z okręgu Karskiego. Rząd ma zamiar wypompować zalane wodą szyby i przeznacza do pracy w tych wilgo-



tnych korytarzach aresztantów. To może tylko pogorszyć ich położenie, bo jeżeli istnieje w Syberii smutniejszy, bardziej pusty i odludny kąt, niż Kara, to jest nim pokryty śniegiem wąwóz Akatui!

We wtorek wieczorem powróciliśmy do osady Aleksandrowska i następnego dnia udaliśmy do oddalonej o 35 kilom. kopalni Ałgasz. Ta droga okazała się również nieprzyjemną: łańcuch ogolonych, niskich pagórków, bez śladów życia i urodzajności. W niektórych miejscach, jedynie widzieliśmy liczne stogi siana.

Z wierzchołka ostatniego wzgórza, przed Ałgaszem otworzył nam się widok na przestrzeni 50 kilom. Zasłana śniegiem pagórkowata ziemia wyglądała jak szeroka powierzchnia morska, której niesione wichrem fale nagle stężały w lód. W oddali między dwoma wzgórzami zauważyliśmy grupę strażnic; woźnica objaśnił nas, że to jest Ałgasz. Jak daleko wzrokiem sięgnąć ani jednego drzewka, ani jednego ciemnego przedmiotu, któryby przeciał widmową biel tego wielkiego pola lodowego! Sama wioska wyglądała jak garść drewniek, zatrzymanych przez prąd w tem zamarznętym morzu.

Wężową kamienistą drogą jechaliśmy w dół stromej pochyłości wzdłuż długiej, brudnej ulicy jakiejś wsi, w której drewniane domy kryte były słomą; minęliśmy kilka stad bydła, pędzonych z paszy i zatrzymaliśmy się w końcu, otoczeni tłumem ciekawych przed domem „ziemskiej kwatery“, w którym chcieliśmy przenocować. Było już zbyt późno, aby oglądać jeszcze więzienie lub kopalnię, przynieśliśmy więc nasze pakunki do domu, przyczem

objaśniliśmy mieszkańcom jego, z kąd mamy upoważnienie do rozgoszczenia się i zaczęliśmy czynić przygotowania do wieczerzy. Własne nasze zapasy były bardzo szczupłe, gospodyni jednak przyniosła nam dymiący samowar, mleko i masło; Frost wyjął puszkę zakonserwowanych brzoskwiń, kupioną w Sretińsku i przy płonącym ogniu odświeżyliśmy nasz chleb zmarznięty, pokryty stwardniałą warstwą kurzu. Wieczerza smakowała nam wybornie i około godziny 9-ej położyliśmy się spać.

Następnego rana odwiedziliśmy pana Nesterowa i podpułkownika Saltzsteina, dyrektora więzienia. Pierwszy przyjął nas z istic rosyjską gościnnością; musieliśmy jeszcze raz zasiąść do śniadania, przyczem pan Nestorew bezustannie napełniał nasze szklanki wódką lub winem krymskiem. Saltzstein zamieszkiwał duży ładny dom, pełen oleandrów i kwiatów. On też zmusił nas do wypróżnienia butelki wina i południe nadeszło, nim udaliśmy się na oględziny więzienia i kopalni. Saltzstein, pochodzący z Nadbałtyckich prowincyi, mówił po rosyjsku niemieckim akcentem; zrobił on na mnie wrażenie prawego człowieka, a zdanie, jakie wypowiedział o wszystkim, było dosyć szczere i nie bez humoru.

— Boję się—rzekł on—gdy przejeżdżaliśmy przez ulicę we wsi—że nasze więzienie wyda się panu najgorszem z tych wszystkich, które pan widział. Jest ono stare i w bardzo złym stanie, ale ja nie mogę nic zrobić, aby je naprawić. Jesteśmy za bardzo oddaleni od Petersburga.

Odpowiedziałem mu, że w każdym razie nie

może być gorszem od więzienia w Ust'-Karze i że dostatecznie poznałem trudności, z jakimi połączony jest urząd dyrektora więzienia. Nie odrzekł nic potrzęsnał tylko głową z powątpiewaniem, jak gdyby pomyślał, że widok więzienia w Algaszy może jednak wzbogacić moje doświadczenie.

Zatrzymaliśmy się przed wysokim parkanem, straż zaprezentowała broń, pełniący służbę oficer przyjął nas i wprowadził na duży dziedziniec, pośrodku którego stało więzienie. Był to długi i niski drewniany budynek o skleconym z desek dachu, z małą przybudówką i szeregiem gęsto zakratowanych okien. Całość wyglądała jakby się miała w każdej chwili zapaść. Jedna z podłużnych ścian tak się głęboko zarysowała, że odchyliła się od pozostałych o jakie pół metra i byłaby się prawdopodobnie już dawno zapadła, gdyby nie podtrzymywały jej mocne belki. Wapna i tynk poodpadały w wielu miejscach, co jeszcze zwiększało zgrzybiały wygląd budynku.

Dyrektor nie umiał mi powiedzieć kiedy więzienie to zostało zbudowane, przypuszczał, że w roku 1817, w tym czasie, kiedy kopalnia została puszczona w ruch. Weszliśmy do ciemnego zatęchłego korytarza, który siedł wzdłuż domostwa. Po prawej stronie znajdowała się apteka i w sąsiedniej dużej celi oddział dla chorych. Tutaj stało około dziesięciu łóżek o brudnej, często zakrwawionej pościeli, a na nich leżało tyluż chorych więźniów, tak białych i wynędzniałych, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. Dozorca objaśnił mnie, że kilku z nich poniosło okaleczenia przy wybuchu dynamitu w ko-



palniach. Powietrze było tu tak okropne, że zadowolniejszy się pobieżnym przeglądem, pośpieszyłem wyjść na korytarz. Następnie obejrzelśmy cele więźniów. Pierwsza z nich mająca 7 metrów kwadr. i  $3\frac{1}{2}$  metra wysokości była— o 2-ch oknach; duży murowany piec i tapczany wzdłuż trzech ścian stanowiły umeblowanie. Powietrze w niej było takie jak w najgorszych celach w Ust'-Karze; o ile mogłem, powstrzymywałem oddech. Zaraz przy wejściu do celi uderzył wzrok mój czerwony lampas, ciągnący się wzdłuż ściany niby ornamentacya. Podpułkownik, zauważywszy co zwróciło moją uwagę, objaśnił mnie z cynicznym humorem, że to więźniowie próbowali pomalować ściany na czerwono.— Przyjrzawszy się dokładniej, ujrzałem, że pas ten składał się z drobnych czerwonych kropek, a widząc pluskwy poprzylepiane w wielu miejscach do ściany, zrozumiałem, że więźniowie widocznie miażdżą tak męczące ich w nocy robactwo. Kto wie od jak dawna to trwało i ile tysięcy więźniów brało udział w próbie „pomalowania ścian na czerwono“. Ja, com dosyć wycierpiał na Syberyi z powodu robactwa, mogłem należycie ocenić znaczenie tego czerwonego pasa.

Zaniecham opisu innych cel. Różniły się one od opisanej najwyżej co do rozmiarów. Wszędzie to samo przepełnienie te same roje robactwa, ten sam zaduch. W celach rozmieszczono 169 więźniów, mniej więcej podwójna liczba tych, dla których było miejsce.

Przy pierwszej sposobności zwróciłem się do Saltzsteina;



— Niezrozumiałem dla mnie jest to, że pan znosi podobny stan rzeczy. Tutaj pan ma 169 więźniów, z których najwyżej 50 ma zajęcie w kopalni, a reszta wałęsa się bezczynnie po smrodliwych celach. Dlaczego nie każe pan więźniom rąbać drzewa w sąsiednim lesie i przynosić je, aby wybudować nowe więzienie. Oni prawdopodobnie chętnieby pracowali i niewielkim kosztem miałby pan nowy budynek, który od biedy przynajmniej byłby odpowiedniejszy dla ludzkich istot.

— Szanowny panie,— odpowiedział Saltzstein, powtarzam tutaj, jeżeli nie dosłownie, to ścisłą treść jego odpowiedzi,— nie wolno mi bez rozkazu posyłać więźniów do lasu. Gdyby który z nich zbiegł, co jest bardzo prawdopodobnem, pociągnięto by mnie do odpowiedzialności i straciłbym mój urząd. Bez rozkazu zarządu więzienia, niewolno mi w ogóle cośkolwiek uczynić. Zwierzchność w Petersburgu zna stosunki tutejsze bardzo dobrze, gdyż ja zdaję z nich sprawę co rok. Gdy przed pięciu laty gorąco prosiłem o rozpatrzenie moich propozycji, otrzymałem rozkaz zasiągnięcia rady u budowniczego okręgowego i podania następnie planu i kosztorysu nowego budynku. — Uczyniłem to, ale pan wie przecież, jak to się dzieje w podobnych wypadkach. List ztąd do Petersburga idzie dwa do trzech miesięcy nim dojdzie na miejsce swego przeznaczenia. Gdy plan i kosztorys nareszcie dochodzą, posyłają je do oddziału zarządzającego więzieniami, odkładają do setek podobnych aktów, aby w najlepszym razie po miesiącach przeczytać taki papier

i zastanowić się nad nim. Następnie zapada decyzja. Jeżeli jest ona przyzwalająca, a wymaga większej sumy, to musi nastąpić zezwolenie ministrów spraw wewnętrznych i skarbu, lub trzeba czekać do ustalenia budżetu na rok następny. W ten sposób przynajmniej rok upływa przed powzięciem jakiegobądź decyzji. W większości wypadków znajdzie się zawsze ktoś, kto skrytykuje pewien bądź plan, bądź kosztorys; papiery odsyłają dla porobienia zmian podług wskazówek jakiegoś urzędnika, który o tem nie ma najmniejszego pojęcia. My dokładamy starań aby zastosować się do tych wskazówek i posyłamy zmienione plany napowrót do Petersburga. Tam podczas tego nastąpiła zmiana urzędników, papiery wpadają w inne ręce i inne zdania i życzenia biorą górę. To, co przedtem przez dwa lata było uznane za dobre, teraz stało się złem. I po upływie półtora roku otrzymujemy nasze podanie znowu z innymi wskazówkami. I tak bywa stale! Od roku 1880 wędrują plany nowego budynku więziennego od Ałgaszu do Petersburga i z powrotem. Teraz znajdują się one po raz trzeci w Petersburgu. Ale nawet, gdy wszystkie te przeszkody będą usunięte, to i tak robota nie ruszy się z miejsca. Dziesięć lat upłynęło od czasu rozpoczęcia budowy nowego więzienia, przy kopalni Gornyj-Zerentuj, a dziś jeszcze nie jest ono pod dachem, nie mówiąc już o wewnętrznem urządzeniu.

— Ależ to jest niedorzeczność, zawołałem. — Po co przez lata całe naradzać się z petersburskimi urzędnikami w kwestyi, którą gubernator, nawet isprawnik sam może zbadać w dzień jeden.

W całej wschodniej Syberji widzę same zrujnowane więzienia, a w nich ludzi, pozbawionych wszelkiego zajęcia. Drzewa macie tutaj dosyć, robota nie kosztuje, każdy chłop rosyjski potrafi wybudować dom drewniany, dlaczegóż pan nie użyje do tego więźniów nie mających zajęcia?

— Nie mamy dostatecznej ilości żołnierzy, którzyby ich strzegła; pouciekałiby—odpowiedział.

— To nie wydaje mi się dostatecznym powodem. Straż mogłaby być powiększoną na czas trwania robót—zauważyłem.—A nawet, gdyby część uciekła, byłoby to lepszem, niż gdy wszyscy siedzą w więzieniu bez zajęcia.

Wzruszył w sposób, charakterystyczny u rosyjskich urzędników, ramionami i zbył mnie milczeniem.

Pożegnawszy się z nim pojechaliśmy z Nestorowem do kopalni, oddalonej o półtora kilom. w kierunku północnym od wsi. Powietrze było czyste, lecz mroźne, ziemia usłana śniegiem. Po za obrębem wsi zauważyliśmy u stóp pagórka kilka plam ciemnych.

— Doprawdy, to są wielbłądy!—zawołał Frost.

— Wielbłądy? — zapytałem z powątpiewaniem.—Wielbłądy w okręgu Nerczyńskim? Zkądby one się tu wziąć mogły.

Zbliżyliśmy się i ujrzeliśmy rzeczywiście wielbłądy.

Dziwny widok przedstawiały te wielkie baktryjskie wielbłądy, skubiące wśród pustego lodowego pola żdzbla trawy, które sterczały z pod śnieżnej powłoki.



Wielkiego doznalibyśmy rozczarowania, gdybyśmy się spodziewali znaleźć w kopalni Algaszn budynku i maszyny, które widzieliśmy w kopalniach amerykańskich. Skład prochu, piwnica do przechowywania dynamitu, jedna czy dwie szopy, mały drewniany domek, służący jako skład narzędzi, jako kuźnia i miejsce do tłuczenia i sortowania rudy, w końcu strażnica — to było wszystko. Zastaliśmy sześciu mężczyzn i dwie czy trzy kobiety zajęte tłuczeniem i sortowaniem rudy, dozorca ostrzył świder na starym zużyтым kamieniu szlifierskim, kilku żołnierzy siedziało na niskiej ławce, nad którą wisiała ich broń. Był to najniższy stopień rozwoju pracy górniczej, jaki kiedykolwiek widziałem.

Nesterow nie miał najmniejszej chęci towarzyszenia nam do szybów. Powierzył oprowadzenie nas jednemu z więźniów, poleciwszy, aby pokazał wszystko godne widzenia, sam zaś miał jakoby urzędowe czynności do wykonania, poczem oświadczył, że oczekiwać będzie naszego powrotu.

Pułkownik dał każdemu z nas świeczkę lojową, sam też wziął jedną i włożywszy niedbale do kieszeni kożucha kilka naboju dynamitu tak że lonty wisiały na zewnątrz, oświadczył, że jest gotów. Postępowaliśmy za nim, na górę wysokości 100 metrów, potem doszliśmy przez wąskie drzwi do jakiejś niskiej galeryi; na spadzistym gruncie leżały grube szyny. Zapaliliśmy świece i zgarbieni, po omacku, szliśmy naprzód. Nasz przewodnik potykał się od czasu do czasu, ja zaś obawiałem się, że, padając, zapali świecą lont i wysadzi nas wszystkich w powietrze.



W pobliżu wejścia znajdował się ciemny, nie zakryty otwór do głównego szybu, z którego wystawał koniec drabiny. Przewodnik nasz z ręcznie zlął na dół, ostrzegając nas, abyśmy ostrożnie szli za nim, gdyż brakuje kilku szczebli. Przytem drabiny nie znajdowały się jedna pod drugą, lecz obok, więc trzeba, doszedłszy do ostatniego szczebla zboczyć, aby wejść na następną. Zresztą obawialiśmy się mniej upadku, aniżeli wybuchu dynamitu. Mimowoli przyszły mi na myśl blade twarze na skrważonych brudnych poduszkach, w oddziale dla chorych i ilekroć spojrziałem w dół i widziałem naszego przewodnika machającego zapaloną świecą około lontu, wyobrażałem sobie jak jabym wyglądał, leżąc na tej brudnej pościeli szpitalnej.

Zstępowaliśmy na dół po drabinach, a potem znowu po ślizkich, chwiejących się balach; szczególny zapach, który poczułem niebawem, pochodził niezawodnie od ostatniego wybuchu dynamitu. Płomyki naszych świec stały się niebieskawe i wkrótce zagasły zupełnie. Wśród gęstego mroku, kurczowo trzymając się drabiny, staliśmy nad ciemną przepaścią, czekając czy długo będziemy mogli oddychać w atmosferze, w której świece już się palić nie mogły. Nie odczuwaliśmy jednak duszności, wobec czego niebezpieczeństwo uduszenia się nie było zbyt groźnem, pomimo niewielkiej ilości ozonu. Poculiśmy pewną ulgę, gdy udało nam się wkońcu zapalić kilka zapalek, przy świetle których zeszlismy o kilka drabin niżej, aby dojść do korytarza, w którym świece znowu zapłonęły; szliśmy około 100 metrow naprzód, brnąc często przez kupy ru-

dy, którą więźniowie przynosili w nieckach do poprzedniego szybu. Temperatura była wszędzie niżej zera, na suficie i na ścianach lśniły i błyszczały kryształ lodu, jak iskrzące dyamenty.

Przez labirynt wązkich i niskich korytarzy doszliśmy do innego szybu i po niezliczonej ilości nadpsutych i pokrytych lodem drabin schodziliśmy do najgłębszej części kopalni. Tutaj pracowało kilku mężczyzn, posługując się tak niewyszukanymi i prymitywnymi narzędziami, że wykwalifikowany górnik miałby dla nich tylko uśmiech litości.

Powietrze było tutaj wogóle złe, a gazy czyniły je jeszcze gorszem, to też świece nasze gasły ciągle. Dla odświeżenia powietrza przedsięwzięto tu bardzo proste środki: żelazny wiatraczek, wprawiany w ruch przez jednego z więźniów. Robiło to bardzo dużo hałasu, a było zupełnie bezcelowe, gdyż nie było szybu powietrznego do którego można było wciągnąć złe powietrze, a napuścić świeże. W taki sposób tylko obracano nieczystem powietrzem, a rezultat był taki sam, jakgdyby w tym celu poruszano kamień młyński. Obejrzeliśmy w różnych miejscach żyły srebra, pozbieraliśmy różne kawałki rudy i przypatrzwszy się chwilę pracy otulonych w kożuchy górników, wydrapaliśmy się narazie znowu do światła dziennego. Ostry, zimny wiatr dał wśród nagich pagórków. W pobliżu stało kilku drżących z zimna aresztantów, którzy prosili Nestorowa, aby im pozwolił powrócić do więzienia. Otrzymali na to ostrą odpowiedź, że wykopany materiał nie jest jeszcze zupełnie rozsortowany, że muszą więc czekać. I biedni aresztanci, którzy od

rana nie jedli musieli przez półtorej godziny czekać na mrozie, aż sortownicy skończą robotę. Zajście to potwierdziło nieprzychylnie zdanie młodego inżyniera z Petersburga o zarządzie; początkowo brałem je za wynik osobistego niezadowolenia. Szczególnem było, jak Nestorow gniewnie przyjął tak skromną w gruncie rzeczy, prośbę więźniów, zdawało mi się, że widzi on w niej śmiałość nieprzyzwoitą.

Przyglądaliśmy się jeszcze przez chwilę tłuczeniu i sortowania rudy, poczem udaliśmy się do kopalni Pokrowskiej, położonej o 6 kilometrów na północo-zachód, u podnóża pozbawionej roślinności góry.

Droga ta była pusta i nieprzyjemna; nigdzie drzewka ani krzaka. Przy wejściu do kopalni stał skład narzędzi, podobny do tego, który widzieliśmy w Ałgaszu, dalej jeszcze jeden magazyn, kilka chałup, w których mieszkali więźniowie, pozostający na stopie „wolnej komendy”, następnie dwa małe więzienie, z których jedno było widocznie wybudowane w ostatnich czasach.

Na wierzchołku skalistej góry tuż nad zabudowaniami, stały dwie strażnice, w każdej z nich żołnierz odbywał wartę. Frost był zbyt zmęczonym, aby chodzić jeszcze po szybach, usiadł więc na kupie śniegu, chcąc zrobić szkic, choć skostniałe, odziane w grube rękawice palce niebardzo mu były posłuszne. Nesterow i ja zeszliśmy pod przewodnictwem jednego z więźniów do szybu.

Kopalnia Pokrowska nie była tak obszerną i głęboką jak Ałgaszka. Powietrze było łagodniej-



sze, lecz również wilgotne. Z sufitu kapiała woda, tworząc małe kałuże. Drabiny w głównym szybie były śliskie od błota. Dlaczego tutaj było cieplej aniżeli w kopalni w Algaszu; tak nieznacznie oddalonej było dla mnie niezrozumiałe, a i Nesterow nie umiał mnie objaśnić. W każdym razie powietrze było względnie czyste i świece paliły się bez trudności, Kilku mężczyzn było zajętych ekspedycją rudą w małych kubłach za pomocą sznura i prostej windy.

Wdrapywałem się po brudnych drabinach w górę i na dół, aż cały zawałałem się błotem; łaziłem po niskich korytarzach aż mnie plecy bolały, wróciłem w końcu zmęczony i spocony do magazynu. Przewodnik nasz zagasił swoją lojową świeczkę i z jeszcze tłącym się knotem położył ją na małej skrzynce, w której między innymi znajdowały się też patrony dynamitowe. Choć nie jestem z natury bojaźliwym, wydało mi się jednak bezpieczniejszem wydostać się czempredzej na powietrze. Gdy knot zagasił już bez wywołania eksplozyi, powróciłem, umyłem brudne ręce w nieszce pod kamieniem szlifirskim, obejrzałem szkice, które Frost zrobił i w końcu zwróciłem się do Nesterowa z całym szeregiem pytań, dotyczących kopalni.

W kopalniach Algaszkiej i Pokrowskiej trafiają się żyły srebra grubości od 20 do stu centymetrów. Ruda jest mieszaniną srebra i ołowiu w stosunku 1:100; oprócz tego zawiera ona w mniejszym lub większym stopniu t. zw. przez górników *cynkowa obmanka*, (byłżeby to nikiel?). Przymieszka ta przedstawia przeszkodę w piecu, gdyż topi się tru-



dniej, aniżeli ołów. Dlatego też tłuką rudę na kawałki, aby oddzielić zawarty w niej cynk. Tłuczenie i sortowanie jest robotą kobiet i słabszych więźniów i uchodzi za najłagodniejszy rodzaj ciężkich robót. Jest to mniej więcej to samo, co tłuczenie kamieni na szosie.—Obie te kopalnie są najobfitsze w całym okręgu, wydają rocznie 400 ton rudy, która po wytopieniu dostarcza 1,440 funtów srebra i 144,000 funtów ołowiu. Z powodu znacznych kosztów przesyłki ołów ten nie może być zużytkowany. Podczas naszego pobytu leżało przy piecach w Kutomarsku 200 ton ołowiu, wytopionego w tamtejszych kopalniach.

W obu kopalniach znajduje pracę przeciętnie 200 więźniów, a produkcja rudy wynosi rocznie 3600 funtów t. j. mniej więcej 10 funtów dziennie, ilość służąca za dowód jak niepraktycznie i niefachowo prowadzoną jest cała produkcya. Do 1885 roku popyślano więźniów codziennie do pracy, z wyjątkiem jedynie świąt uroczystych; teraz mają oni jeszcze dwa dni wypoczynku na miesiąc: pierwszego i piętnastego. Odzież ich i pożywienie jest takie same, jak w okręgu Karskim.

Jako katorga nie wydały mi się kopalnie nerczyńskie tak straszne, jak je opisywać zwykli. Oczywiście, że pracy przez osiem do dziesięciu godzin głęboko pod ziemią, w wilgotnych lub zimnych korytarzach do przyjemności zaliczyć niepodobna. Zdaje mi się jednak, że jest to lepszem i zdrowszem, niż stały pobyt w przepelnionych, brudnych i cuchnących celach więziennych. Atmosfera w kopalniach nie należy do najlepszych, zwłaszcza

przy gazach, wytwarzanych przez materiały wybuchowe, ale niema w nich wyziewów niebezpiecznych jak np. te, które wydziela rtęć. Śmiertelność wśród więźniów, pracujących w kopalniach nie jest, jak zauważono, większą, niż wśród tych, którzy całymi dniami siedzą beczynnie w celach i oddychają zesputem powietrzem. Gdybym miał wybierać między próżniaczem spędzaniem czasu w więzieniu takim, jak w Ałgaszu lub w Ust'Karze, a ciężkimi robotami w kopalniach, wybrałbym bez namysłu te ostatnie.

Badalem w tym kierunku więźniów i dowiedziałem się, że nie zmuszano ich nigdy do pracy w kopalniach we dnie i w nocy, zdaje mi się więc że opowieści, które obiegają o tem, są czystym wymysłem. Może być, że więźniowie, podzieleni na partye, pracują na zmianę we dnie i w nocy, ale od nikogo nie żądano nigdy, aby pracował bez przerwy przez 24 godzin. W tym czasie nie było nocnej roboty, aresztanci o zmierzchu lub cokolwiek później powracali do cel swoich.

Oczywiście, że życie więźnia w kopalniach Nerczyńskich nie jest przyjemnem. Nie mogę sobie wyobrazić bardziej smutnego i beznadziejnego istnienia, niż życie człowieka, który cały dzień pracuje w wilgotnych podziemiach Pokrowskiej kopalni, aby w nocy wypoczywać w brudnej, pełnej robactwa celi więzienia Ałgaszskiego. Jest ono gorsze, niż życie wypędzonego psa, nie jest jednak tak rozpaczliwem, jak tam często opowiadają, jak głosi np. bajka o więźniu, który musiał dzień i noc pozostawać w minach, bity przez okrutnych dozorców i zwolna

ginący od trujących wyziewów rtęci. Podobne opowiadania dobre są w romansach, obliczonych na wywołanie dreszczu, grozy, lecz nie odpowiadają rzeczywistości. Ciężkie roboty w kopalniach nie są najcięższym udziałem więźniów syberyjskich, a wiele gorszym jest pobyt w więzieniach.

Ściemniło się już, gdy powróciliśmy do Ałgaszu. Dziewczyny wiejskie poiły krowy i napępiały swe okryte lodem kubły wodą z ocembrowanego źródła, bijącego w pobliżu „kwatery ziemskiej.“ Pojechaliśmy do Nesterowa, u którego posiliśmy się i pogawędziwszy sporą chwilę, wróciliśmy do siebie, aby resztę wieczoru spędzić na spisywaniu wrażeń naszej podróży.

W piątek, dn. 20-go listopada, pożegnaliśmy Nesterowa i Saltzsteina i udaliśmy się do o 150 kilom. od Ałgaszu oddalonych, wsi i kopalni Kadajskich. Było jeszcze ciągle bardzo zimno i droga biegła znowu wzdłuż szeregu jednostajnych, pokrytych śniegiem pagórków.

Nocą dojechaliśmy do wsi Dono, następnego południa do wspomnianych już pieców Kutomarskich, gdzie zabawiliśmy kilka godzin, w celu obejrzenia ich. W końcu, zgłodniałi i zziębnięci, przybyliśmy w sobotę rano do mizernej wioski Kadaja i tu też zajechaliśmy do „kwatery ziemskiej.“ Zaraz po herbacie udaliśmy się na spoczynek; Frost ułożył się na przypiecku, ja na podłodze.

W niedzielę rano wstaliśmy wypoczęci i ze świeżymi siłami. Po śpiesznie spożytem skąpem śniadaniu, przeszliśmy się po szerokiej, pokrytej śniegiem drodze we wsi, Frost z zamiarem naryso-



wania kilku szkiców, ja zaś, chcąc odnaleźć dozorcę kopalni. Kadajska kopalnia srebra jest jedną z największych, a zarazem najstarszych kopalni w okręgu nerczyńskim. Leży ona na stromej górze, o 300 metrów od wsi, na wysokości mniej więcej 100 metrów. Puszczoną została w ruch dawniej, niż przed stu laty i była nadzwyczajnie obfitą, teraz jednak wyczerpała się i kopalnie Algaszka i Pokrowska przewyższają ją znacznie.

Dozorcę odnalazłem w strażnicy, znajdującej się w pobliżu kopalni — był właśnie przy robocie. Z wyglądu wydał mi się inteligentnym chłopem syberyjskim. Przyjął mnie uprzejmie, co prawda z pewnym zdumieniem, przeczytał moje listy polecające i oświadczył, że gotów mi jest pokazać wszystko, co pragnę widzieć.

Poszliśmy do kopalni. W budynku warsztatowym, znajdującym się nad wejściem do głównego szybu, włożyłem „katankę“ jednego z więźniów, która, jak wkrótce poczułem, pełna była robactwa. Dozorca też włożył długą, brudną kapotę, starą czapkę i grube, skórzane rękawice. Następnie zaopatrzyliśmy się w lojowe świece i zeszliśmy do szybu. Na głębokości 40 metrów dosięgliśmy obszernego miejsca, z którego rozchodziły się trzy galerie, wyższe i szersze od tych, jakie widzieliśmy w Algaszu i Pokrowsku. Ziemia zalana była na głębokości kilku cali wodą, która kapła obficie z sufitu i ścian. Mniej więcej o 30 metrów głębiej znajdowało się podobne miejsce, z którego weszliśmy w szeroki i wysoki korytarz, prowadzący do środka góry. Tutaj robiono właśnie wyłom i cała



przestrzeń była tak napełniona dymem prochu, że nie rozróżniałem nic, prócz bladego płomyka świecy dozorecy. Szedłem też za nim, potykając się na nierównym gruncie, lub wpadając w kałuże. Kilka razy zdawało mi się, że zbłądziłem w starym, zapomnianym szybie. Przechodziliśmy koło wielkiego otworu, z którego — jak mnie objaśnił dozorca — w zeszłym stuleciu wykopano ogromną ilość rudy. Belki istniejącego jeszcze palowania były zupełnie czerniałe i tak spróchniałe, że można je było w palcach kruszyć. Dozorca utrzymywał, że zwiedzanie tej części kopalni nie jest bezpiecznem i radził nam zawrócić, co też uczyniliśmy. Zauważyłem dużo nieregularnie wykopanych otworów; prawdopodobnie wydobywano z nich rudę w sposób bardzo wygodny, nie zabezpieczający jednak życia ludzi.

Z tych podziemi, pochodzących z czasów Katarzyny II-iej zeszliśmy do najgłębszej części kopalni, wyrabanej w skale pod kątem około 45 stopni. Tutaj nie było drabin. Uczepiliśmy się ciężkiego żelaznego łańcucha i schodzili ostrożnie, brnąc po kostki w wodzie, spływającej z pod stóp naszych. Na dnie znaleźliśmy więźniów, wyłamujących za pomocą dynamitu nowe galerie.

W innym znowu szybie wdrapywaliśmy się po pochyłych, śliskich drabinach w górę i kiedy przemoczony, zabłocony i zdyszany postawiłem nogę na ostatnim szczeblu, byłem tak wyczerpany, że się edwie na nogach utrzymać mogłem.

## Przygody w Syberyi wschodniej.

Po obejrzeniu ponownem kopalni i na wpół zapadłego więzienia w Kudaju, udaliśmy się po pagórkowatej, pokrytej śniegiem drodze do osady górniczej Gornyj-Zerentuj, położonej w rozległej, nieurządzonej dolinie o 60 kilometrów od Kadaj, a 50 kil. od granicy mongolskiej.

Późną nocą przybyliśmy tam, rozbudzili mieszkańców, „kwatery ziemskiej“, chcąc u nich znaleźć pomieszczenie i, napiwszy się herbaty, ułożyliśmy na usianej robactwem podłodze.

W poniedziałek rano odwiedziliśmy kapitana Demidowa, naczelnika okręgu, który chętnie uwzględnił naszą prośbę o zwiedzenie więzienia. Składało się ono z dwóch starych drewnianych budynków, nie różniących się niczem od reszty więzień syberyjskich i nie zawierających nic, coby mogła pobudzić nasze zainteresowanie. Mieściły one 180 więźniów, drugie tyle przebywała na stopie „wolnej komendy“. W niewielkiej odległości zauważyliśmy

nowy, niedokończony budynek z cegieł o trzech piętrach, przy którym przerwano robotę. Dziesięć lat już trwała budowa tego nowego więzienia i było do przewidzenia, że przy tak niedbałym i nieuczciwym prowadzeniu robót jeszcze pięć lub sześć lat upłynie, nim ukończoną zostanie; w owym czasie wiązanie dachu nie było jeszcze ukończone. A tymczasem 180 więźniów żyło w niezdrowym i ciasnym budynku.

Następnej wiosny, po powrocie moim do Petersburga, uzyskałem rozmowę z panem Gałkinem-Wraskim, szefem rosyjskiego zarządu więzień, w której pozwoliłem sobie zwrócić mu uwagę na więzienia okręgu Nerczyńskiego, a głównie na nieskończoną budowę w Górnym—Zerentuju.

Odpowiedział mi, że potrzeba nowych więzień okazała się już w 1772 r., a w dwa lata później utworzono w tym celu specjalną komisję budowlaną. W siedem lat później, on sam udał się w podróż inspekcyjną po Syberji, podczas której okazało się, że komisya ta wydała na wybudowanie dwóch drewnianych domów i kilku nieznacznych przeróbek 74,318 rb. i wystawiła rachunek na 61,090 rb. za koszta różne i pensye, nie opracowawszy ani jednego planu, ani jednego kosztorysu.

— I co było tego wynikiem?—spytałem.

— Zaproponowałem zniesienie komisji budowlanej.

— I czy się tak stało?

— Tak!

— Nie mogłem w okręgu nerczyńskim nie zauważyć takiego—rzekłem na to—co by wskazywało

na wydatek 74,000 rb., najwyżej chyba mały budynek drewniany w Pokrowsku i niewykończona budowa w Górnym—Zerentuji, która się już ciągnie od dziesięciu lat.

— To ostatnie jest zrozumiałem, ponieważ plany bywają kilkakrotnie zmieniane—zauważył. Chcieliśmy też zupełnie zaniechać używania cegły przy budowie; obliczyliśmy, że dom z cegieł na 300 osób musi wynieść 160,000 rubli, podczas kiedy taki sam z drzewa da się wznieść za 52,000 rb.—Większa trwałość kamienia nie wchodzi tutaj w rachubę, z tego względu, że gdy kopalnia się wyczerpie, to i więzienie przy niej się znajdujące, bywa opróżnionem. Gdy ja objąłem prowadzenie, budowa była zbyt posuniętą, aby można było jej zaniechać.

Co się tyczy częstych pomyłek i błędów, będących charakterystyczną właściwością więzień kraju Zabajkalskiego, to nie udało mi się uzyskać ani od dyrektora zarządu więziennego, ani od jego sekretarza zadawalniającego objaśnienia. Ograniczyli się oni zapewnieniem, że czynią wszystko, co jest w ich mocy dla zmniejszenia istniejącego zła, które w większej części otrzymali w spuściznie po swoich poprzednikach. Aby wszystko naprawić—na to obydważy zbyt krótko sprawowali swój urząd.

Możliwem jest, że mieli słuszość, i że nie umiałem ocenić całego ogromu trudności, które mają do zwalczenia. Nie mogę się jednakże pozbyć wrażenia, że większość wad systemu deportacyjnego, w szczególności w prowadzeniu więzień, leży w niedbalstwie i obojętności z jakimi sprawy te są trakto-



wane i w ociężałem, biurokratycznym wykonywaniu projektów...

Amerikanin nie jest zdolnym pojąć tego braku energii, który na każdym kroku w okręgu nerczynskim daje się odczuwać. Cała produkcya górnicza jest niewystarczającą! większość aresztantów, skazanych na ciężkie roboty, leży miesiącami całami beczynnie w brudnych przepelnionych celach; plany i kosztorysy nowych budynków wędrują przez długie lata tam i z powrotem, i jeżeli dojdzie do rozpoczęcia budowy, to wykończenie jej bywa, zupełnie bez powodu, odkładane na czas nieograniczony.

W zakładzie Kutemarskim, rzekłem do inżyniera górniczego:

— Dlaczego nie sprowadzicie panowie odpowiednich żelaznych maszyn, nie zaopatrzyacie robotników w odpowiednie narzędzia, nie postawicie pomp parowych, aparatów wentylacyjnych, słowem nie zaprowadzicie wszystkiego, co by mogło produkcyę postawić na bardziej fachowym poziomie?

— Czy szanowny pan wie, co żelazo tutaj kosztuje?— odrzekł mi na to.—Musimy je sprowadzać z Piotrowskiej fabryki, to znaczy o 600 wiorst kołmi, a wtedy pud wyniesie 5½ rb. Żelazne maszyny są zbyt kosztowne dla nas.

— Czyż tutaj niema rudy żelaznej?—spytałem.

— Owszem, jest. Ale jej nie wydobywają.

— A dlaczego? Wybuduj pan kilka pieców, a będzie pan miał żelaza więcej, niż potrzeba. Sił roboczych nie brak tutaj, bo jak widzę, większa część aresztantów jest beczynną.

— Bez pozwolenia z Petersburga nie możemy nic uczynić.

— To spróbuj pan uzyskać takie pozwolenie; dlaczego mianoby panu odmówić? Przy takiej produkcji w kopalniach, niepodobieństwem jest wyciągnąć z nich jakiegokolwiek zysków. — Wzruszył ramionami i zamilkł...

Z kopalni w Gornym—Cerentuju, pojechaliśmy końmi kapitana Demidowa do Suwieńskiej kopalni, położonej o 3 kilometry u podnóża pokrytej śniegiem góry. Budyki przy wejściu do szybu podobne były mniej lub więcej do tych, które widzieliśmy poprzednio, tylko w jednym z nich znajdowała się mała maszyna parowa pierwsza i jedyna, którą widziałem w kraju Zabajkałskim.

Podczas kiedy Frost szkicował nagi, lodowaty pejzaż, ja oglądałem kopalnię i doszedłem do wniosku, że nie warto było wdrapywać się po śliskich drabinach. Szyb nie był głęboki, zaledwie 35 metrów, powietrze wilgotne i zimne, galerye tak niskie, że nie mogłem się wyprostować, a sufity i ściany pokryte lodem. Pracowało tu tylko 35 więźniów. Nosili oni w małych koszykach rudę do szybu przedniego, zsypywali ją do małych kwadratowych skrzynek, które ekspedyowano pojedynczo za pomocą starej ciężkiej windy na górę.— Chyba pierwotni mieszkańcy z Syberyi przed wiekami, nie prowadzili górnictwa w mniej pierwotny sposób.

Zwróciłem się do dozorecy:

— Dlaczego nie wysyłacie więcej ludzi do

roboty? Przychodzę właśnie z więzienia, w którym przynajmniej 150 aresztantów siedzi bezczynnie.

— W galeryach mamy miejsce tylko dla 35 do 40 robotników—odrzekł dozorca.

— Dlaczegoż w takim razie nie rozszerzycie kopalni? Wszak kopiąc dalej i czyniąc wyłomy, moglibyście z łatwością zrobić miejsce dla setek robotników. Rudy macie dosyć, połóżcie szyny, rozszerzcie galerye, a podniesiecie produkcję.

Dozorca mileżał i patrzył na mnie tak zdumionym wzrokiem, jakgdybym czynił najniemożliwsze propozycje.

Podczas naszej obecności znajdowało się w Nerczyńskich kopalniach 952 więźniów skazanych na ciężkie roboty. Z tej liczby: w osadzie Aleksandrowsku 188, w Algaszu 150, Pokrowsku 70, Kardańskiu i Smirnowie 184, Sawieńsku i Górnym-Cerentuju 360. Trzecią część ich zaledwie posyłano na roboty, reszta zmuszoną była do bezczynności, choć roboty nie brakowało.

Powody, dla których tak się działo, podano mi następujące:

Po pierwsze, brak miejsca w kopalniach; po drugie, brak wojska dla konwojowania większej ilości więźniów do min lub lasów; po trzecie, robota skazańców wypadła drożej, niż gdy dostarczali ją dostawcy;<sup>1)</sup> po czwarte, więźniów niewolno bez roz-

1) Udowodnienie, wskazujące na nieuczciwość i brak uzdolnienia większości urzędników syberyjskich. Znam wypadki, w których gmina miejscowa konfiskowała całkowicie sumę, przekazaną na wzniesienie państwowego budynku i zdawała



kazu z Petersburga zużytkowywać w taki sposób.

Żaden z tych powodów nie wydaje mi się wystarczającym. Amerykanin, zaopatrzony w potrzebne pozwolenie i z kapitałem 10 do 15,000 dolarów, mógłby w przeciągu dwóch lat przy pomocy 950 więźniów, znajdujących się w okręgu Nerezyńskim, wybudować przy każdej kopalni nowe więzienie, mógłby w przeciągu pięciu lat powiększyć dochody z kopalni w dwójnasób, ba nawet w czwórnasób, nie powiększając wydatków skarbu ani o jednego dolara.

Kopalnia Sawieńska była ostatnią, jaką zwiedziliśmy w Syberji Wschodniej. W poniedziałek, dnia 23 listopada pojechaliśmy do zakładu Nerezyńskiego, wielkiej wsi odległej o 15 kilom. od Gornego-Cerentuja, a we wtorek rano udaliśmy się z powrotem do Szilki i miasta Nerezyńska. Droga na przestrzeni 300 kilom. była wprawdzie długą i uciążliwą, ale niedostatecznie zajmującą, abym ją miał opisywać.

Krótko mówiąc, jechaliśmy przez pustą, pokrytą śniegiem, pagórkową okolicę, przy temperaturze wahającej się między 0 a 27 stopniami Fahrenheita.

---

raport, że budynek jest ukończony i w użyciu. Podobny fakt, dotyczący domu etapowego w Ukirsku, był roztrząsany w 1884 r. w Petersburskiem piśmie „Przegląd wschodni” № 2. Pewien fotograf w Syberji pokazywał mi fotografię niedawno wykończonego gmachu państwowego, która podług rozkazu z Petersburga musiała być zrobioną i posłaną do stolicy. Rząd musiał się w ten sposób przekonywać, że dozwolony i zapłacony budynek istnieje w rzeczywistości i że wzniesiono tenże stosownie do polecenia.



Szosa była w złym stanie, wozy wynajmowane przez nas, najgorsze jakie Wschodnia Syberya mogła dostarczyć. Oprócz tego, że trzęsienie wozu dokuczało nam bardzo, cierpieliśmy jeszcze z powodu głodu, zimna, bezsenności i innych umartwień, które wprawiły nas w taki nastrój, że bylibyśmy za ciepłą kąpiel, dobry obiad i kilka godzin snu chętnie oddali wszelakie dobra tego świata.

W czwartek, wczesnym rankiem przybyliśmy na stację pocztową Biankińsk położoną na brzegu Szilki. Tutaj przełożyliśmy nasz bagaż na sanie i pojechaliśmy po zamarzniętej rzece przy 30 stopniach Fahrenheita do Nerczyńska. W ostatnich dniach jedliśmy bardzo niewiele, próbowałem więc brak ciepłota własnego ciała zastąpić trzema kożuchami; nadawały mi one wygląd żywego tłomoka, z którego wystawała futrzana czapka i widać było tylko brudną, nieogoloną twarz, zsiniałą od zimna. Nie bacząc na ciepłe okrycia przemarzłem do szpiku kości, a Frost, mniej odemnie zabezpieczony, cierpiał strasznie. Nad samym wieczorem przybyliśmy do Nerczyńska, śniegu tam na ulicach nie było, więc ponieważ konie nie mogły uciągnąć sanń po gołej ziemi, zeszliśmy z nich i chwiejąc się z osłabienia dobrnęliśmy do miasta.

W Nerczyńsku zatrzymaliśmy się, pierwszy raz od miesiąca, w hotelu, który co do niewygód i braku czystości przewyższał „kwatery ziemskie” okręgu górniczego. Był to najgorszy hotel, na jaki natrafiliśmy w całej Syberyi. Dziedziniec jednopiętrowego drewnianego domu był ciemny i brudny, pokoje gołe, zimne, o stęchłym powietrzu, tapety

zwieszały się w strzępach z drzwi i ram okiennych, prawdopodobnie nigdy niemytych, podpadała brudna farba, podłoga brudna, zapadnięta i pełna nor szczurzych, a na zaplamionym obrusie, leżącym na stole, laziło różne robactwo. Nigdzie łóżka, na którym moglibyśmy wyprostować nasze zbolale członki, nigdzie lustra, które dostarczyłoby nam wątpliwej przyjemności obejrzenia zsiniałych twarzy naszych.

Młody chłopiec w wysokich butach i czerwonej wehnianej koszuli przyniósł nam miedzianą miednicę, która, z wyglądu sądząc, służyła do różnych celów i nigdy nie była szorowaną. Choć byliśmy przyzwyczajeni do podobnych wygod i pomimo, że stan naszej toalety nie był odpowiednim do podobnych rozmyślań, nie mogliśmy przewyciężyć wstrętu. A jednak zmuszeni byliśmy tu pozostać, gdyż był to jedyny hotel w miasteczku. Właściciel jego nazywał się Klemensowicz i był zesłanym Polakiem. Jeżeli on w swojej ojczyźnie miał to samo zajęcie i utrzymywał tam pokoje hotelowe w podobnym stanie, to zesłanie jego w drodze administracyjnej w najodleglejszy kąt Syberji w imię czystości było pożądanem.

Zjedliśmy śniadanie, składające się z herbaty, kwaśnego chleba żytniego i tłustych pączków, poczem, przy pomocy małego lusterka, wydobytege przez właściciela hotelu Bóg wie zkad, zabraliśmy się do robienia toalety; następnie wyszliśmy dla obejrzenia miasteczka i oddania kilku listów polecających.

Nerczyńsk, miasteczko, mające około 4000 mie-

szkańców, leży na lewym brzegu Nerczy, w miejscu około 4 kilom. odległem od ujścia jej do Szilki o więcej, niż 7.000 kilom. na wschód od Petersburga. Co się tyczy rozwoju materyalnego i kulturalnego miasteczka, wydało mi się ono wyżej stojące od podobnych miejscowości w Syberyi. Posiadało ono bank, dwie czy trzy szkoły, bibliotekę, muzeum, szpital o 20 łózkach, ogród publiczny z fontanną i sporo sklepów. Ruch handlowy nie jest bardzo ożywiony, cały handel, przeważnie futrami, w obrocie nie przewyższa sumy dwóch milionów rubli. Z budynków zwraca przedewszystkiem uwagę pałac bogatego właściciela kopalń, Butina, gmach, który w Petersburgu nawet nie znalazłby wiele sobie równych. W czasie naszej obecności firma ta przechodziła kryzys materyalny i pałac znajdował się pod opieką obcego kuratora. Pomimo to list polecający młodszego szefa firmy otworzył nam podwoje domu.

Przeniesiony z nędznej budy pana Klemenso-wicza, nie mogłem wyjść z podziwu znalazłszy się nagle w pięknych salonach, a gdy w jednym z nich największe z istniejących na świecie luster przesa-ło mi odbicie mej postaci, przecierałem sobie oczy aby się przekonać, czy to nie sen.<sup>1)</sup> Ktoby się też

<sup>1)</sup> Wielkie to zwierciadło nabyte zostało przez pana Butina w roku 1878 na paryskiej wystawie wszechświatowej; uchodziło ono wtedy za największe. Przywieziono je z ogromnemi trudnościami, morzem, do miasta syberyjskiego portowego, Mikołajewska, a następnie na specjalnie w tym celu zbudowanym statku po Amurze i Szilce do Nerczyńska.



spodziewał zobaczyć na wschodnio-syberyjskiem pustkowiu, pałac z posadzkami, jedwabnymi portyrami, kosztownymi tapetami, wspaniałymi kandelabrami, perskimi dywanami, stylowymi meblami, rzezbami z marmuru, obrazami słynnego malarza Makowskiego, oranżeryą pełną palm i podzwrotnikowych roślin! W dużych, nawet europejskich, miastach podobny zbytek nie często widzieć można, a w tych warunkach musi on podróżnika wprowadzić w zdumienie. W tym czasie pałac był od kilku miesięcy niezamieszkały, nie przedstawił się więc nam w pełnym blasku, ale to, co widzieliśmy, świadczyło nie tylko o bogactwie, lecz również o wykwintnym smaku.

Największy salon służył jako sala balowa i miał 20 metrów długości i 15 szerokości. Na galerii, tworzącej półkole i do której prowadziły wspaniałe schody, znajdował się instrument muzyczny, rozmiarów organów kościelnych, grający 60 do 70 różnych melodyi. Biblioteka zawierała piękny wybór książek i pism w różnych językach, a oprócz tego zbiór rud i kamieni syberyjskich. W pobliżu domu znajdowało się biuro firmy, mającej nadzwyczaj rozległe stosunki i zatrudniającej kilkaset osób.

Po obiedzie odwiedziliśmy dwóch zesłańców politycznych, nazwiskiem Czaruczin i Kumecow, przeniesionych tutaj po odbyciu robót ciężkich i żyjących w kole swych rodzin względnie wygodnie. Byli to ludzie inteligentni, mili towarzysze i niejedną przyjemną godzinę spędziliśmy z nimi w ciągu trzydniowego naszego pobytu. W Karze było im bardzo źle, ale w Nerczyńsku obchodzono się



z nimi o wiele względniej. Pozwalano im nawet na zajęcia, które właściwie wzbronione są zesłańcom politycznym; jeden z nich był nauczycielem, drugi fotografem. Korespondencya ich była wprawdzie pod kontrolą policyi, ale nie doznawali oni tyłu bolesnych przykrości, na które narażeni są zesłańcy w innych częściach Syberyi.

Czaruczin siedział przed zesłaniem przez cztery i pół roku w osobnem więzieniu i dwa i pół lat w fortecy Petropawłowskiej. Był on oskarżony o agitacyę rewolucyjną wśród ludności fabrycznej w Petersburgu. Gdy go w 1878 r. zesłano na Sybir, żona pojechała z nim dobrowolnie i zamieszkiwała nędzną chatę w tak zwanej „dolnej płóczkar-ni złota” w Karze, dopóki ich nie połączono. Należał on do tych politycznych na stopie „wolnej komendy”, którzy 1-go stycznia 1880 roku: znowu do więzień powracać musieli i w jego domu zastrzelił się Eugeniusz Siemionowski.

W niedzielę, dnia 29 listopada pożegnaliśmy Czaruczina i jego żonę i saniami pojechaliśmy do Czity, stolicy kraju Zabajkalskiego.

Sople lodu, zwieszające się z nozdrzy naszych pokrytych szronem koni, skrzypienie zmarzniętego śniegu pod płozami saní, fioletowe zabarwienie widniejących w oddali gór i wysoko unoszące się cienkie smugi dymu z kominów były dostatecznemi oznakami niskiej temperatury, a termometr mój wskazywał 97 stopni Fahrenheita. W nocy mróz stał się jeszcze silniejszym, z ledwością dobieraliśmy się od jednej stacyi pocztowej do drugiej. Podczas zaprzęganía koni wypijaliśmy, po kilka filiża-

nek gorącej herbaty, która nas cokolwiek rozgrzewała, lecz w godzinach między północą a porankiem nie mogliśmy nigdzie dostać nic ciepłego i odczuwaliśmy srogie zimno tem silniej. Młodzi chłopcy i mężczyźni z okrzykami mijali nas na swych sankach, pstro odziane dziewczyny wiejskie spacerowały, śpiewając, po ulicach wsi, dom, służący za pocztę napelniony był gwarnym tłumem, zabierającym się właśnie do powrotu do domu. Pocztmistrza nie mogłem nigdzie zauważyć, a i woźnica był niewidzialnym. Starosta (władza gminna) mały, gruby, stary pan był tak pijany, że się ledwie na nogach trzymał. Nie mogliśmy się odrazu dowiedzieć, co było powodem tej ogólnej pijatyki, gdyż nie było nikogo dostatecznie trzeźwego, aby nas objaśnił; z głośnych rozmów dowiedziałem się, że nawet pop zupełnie się upił i że najtrzeźwiejszy z całej parafii musiał go odwieźć do domu.

Wobec tego, że i pocztmistrz, i woźnica, i pop, i starosta i wynajęci ludzie byli pijani zupełnie, nie mieliśmy żadnych widoków, że szybko dostaniemy konie. Ludzie ci byli w takim stanie, że nie umieliby konia od siodła odróżnić. Przenieśliśmy więc bagaż nasz do poczty, usiedliśmy w kącie w oczekiwaniu co z tego wyniknie. Wokoło nie widziało się trzeźwej istoty, wyjąwszy nas i jakiegoś niemowlęcia, trzymanego na ręku.

Ojciec tego dziecka, młody, przystojny oficer, szedł chwiejnym krokiem, prawdopodobnie z zamiarem zabrania swego bagażu. Ale co wziął do ręki, to mu po chwili wypadło; podczas tego zamienił ze swoją, też niezupełnie trzeźwą, żoną kilka zdań,

mających związek z odbytą uroczystością. Wreszcie zabłysła mu myśl, jaknajlepiej byłoby zabrać się do wyjazdu; zatoczył się więc do przeciwległego kąta izby, wziął opartą o ścianę szablę i dał żonie prosząc, aby wyniosła szablę i położyła na sanie. Kobieta była jeszcze dosyć trzeźwą, aby mu odpowiedzieć, że, mając dziecko na ręku, nie może tego zrobić i prosiła, aby sam to uczynił. Wtedy młody oficer przycisnął szablę do piersi i zadeklamował patetycznie, że z szablą wcześniej ślub brał, niż z żoną i dlatego przyzwoiciej będzie, jeżeli ją sam na saniach złoży. Lecz po chwili broń wypadła mu z ręki i gdyby nie troskliwość drugiej „zaślubionej”, pierwsza zostałaby porzucona na poczie. Około godziny 8-ej udało mi się nareszcie przyłapać starostę i kilkoma ostrymi słowami otrzeźwić go do tego stopnia, że zaczął pojmować, iż dalsza zwłoka w naszej podróży mogłaby mieć dla niego nieprzyjemne następstwa.

Podczas kiedy ja zużywałem cały mój talent krasomówczy, on zapisywał nasze nazwiska do księgi stacyjnej:—pan Kennan i pan Frost z sąsiednich Stanów)<sup>1</sup>.—Następnie potoczył się w stronę schodów

krzyknął z całych sił:—Andrzej! Mikołaj! Natychmiast konie!—Jedyną odpowiedzią na to był wrzask odjeżdżających sankami pijaków. Stary podniósł

<sup>0</sup>) W rosyjskim wyrazy „sąsiednie” i „zjednoczone” mają podobieństwo dźwiękowe. Pierwsze wydało się pijanemu staremu bardzo i znanem; nie słyszał on prawdopodobnie w życiu swem o Stanach Zjednoczonych.



ręce do góry w pełnym komizmu ruchem rozpaczy i jęknął:—Wszyscy pijani! Kara boska!

Po chwili uciszyło się wszystko. Ukazał się pocztmistrz, starający się ukryć swą nietrzeźwość pod maską urzędowej surowości i ostro zapytał, gdzie się właściwie podział woźnica i co znaczy ta wrzawa?

Stan wspomnianego młodego oficera przejawiał się teraz w postaci roztkliwienia; obcałował on wszystkie znajdujące się w pokoju kobiety, przeżegnał się pobożnie i chwiejąc się wyszedł, a za nim żona, niosąca dziecko i szablę. Dwaj pijani popi w długich szatach i wysokich czapkach, przypominających cylindry bez ronda, wyszli z powozu, który się zatrzymał przed wejściem.

Gdy wszyscy z otaczających złożyli pełne czci pocałunki na ich dłoniach, wsiedli do czekających sani, których woźnica z trudnością utrzymywał równowagę.

Straciliśmy już zupełnie nadzieję ruszenia z miejsca tego dnia, gdy do izby wszedł naprawdę trzeźwy człowiek i oznajmił, że konie dla nas są zaprzężone. Pijany pocztmistrz uważał za stosowne ujawnić swoją władzę i wylać swój gniew. Złapał więc ostro woźnicę i nałożył nań karę w wysokości 50 kopiejek; nie wiem właściwie czy dlatego, że osmielił się pozostać trzeźwym, czy też, że zaprzągnął konie, jak należało. Złożyliśmy nasz bagaż na same, wsiedliśmy i odjechali nareszcie. Gdy mieliśmy całą wrzawę po za sobą, zwróciłem się do woźnicy z zapytaniem:



— Co to się stało na wsi? Toż wszyscy są pijani?

— Poświęcano nową cerkiew — odpowiedział z powagą.

— Cerkiew? — zawołałem ze zdziwieniem. — W taki sposób poświęcają u was świątynie?

— Nie wiem—odpowiedział.—Tutaj często pija. Po mszy było „gulanje” i niektórzy musieli za dużo wypić.

— Niektórzy—rzekłem.—Chce pan powiedzieć wszyscy? Jest pan jedynym trzeźwym człowiekiem, którego tu znalazłem. Jak się to stało, że i pan nie wypił o kieliszek za dużo?

— Nie jestem chrześcianinem — odpowiedział spokojnie—jestem buriatem <sup>1)</sup>.

Jako chrześcianin, jakkolwiek nie wyznawca kościoła prawosławnego, musiałem zamilknąć przy nieświadomej tych słów ironii. Jedynym trzeźwym człowiekiem we wsi, mającej 600 — 400 mieszkańców był poganin i urzędnik chrześciański nakładał na niego 50 kop. kary, może tylko dlatego, że nie spił się on narówni z innymi.

We wtorek rano, 1-go grudnia, przybyliśmy do Czity i zajechaliśmy do hotelu „Władystok”. Był to jednopiętrowy mały budynek, którego właściciel nazywał się Biateczynski.

W Czicie, jak to już wpierw zauważyłem, znajdowało się sporo bardzo interesujących zesłańców politycznych. Już podczas naszego poprzedniego po-

<sup>1)</sup> Burjaci, urodzeni w Syberji, należą przeważnie do wyznawców Buddy.

bytu zawiązaliśmy z nimi znajomość. Oczywiście, że stosunek ten był bardzo powierzchowny, gdyż, chcąc przed nadejściem zimy dostać się do okręgu Karskiego, zatrzymaliśmy się byli w Czicie krótki czas. Teraz zamierzaliśmy tu zostać dwa tygodnie. Większość owych zesłańców należała do kategorii skazanych poprzednio na roboty ciężkie w kopalniach i uważanych za ciężkich przestępców. Ta okoliczność, w połączeniu z podejrzeniem, jakie wzbudziliśmy u władzy w okręgu Karskim, zmuszała nas do zachowania większej, niż kiedykolwiek ostrożności w stosunku z politycznymi i do wyszukanej grzeczności z władzą. Nie jest nieprawdopodobnym, że kapitan Nikolin zawiadomił o naszych zajęciach gubernatora w Czicie i że nas teraz uważnie śledzono.

Przedewszystkiem odwiedziłem pułkownika Swietkina, zastępującego nieobecnego gubernatora Barabasza i opowiedziałem mu o naszym pobycie w okręgu Karskim, z wyjątkiem oczywiście, stosunku z więźniami politycznymi. Następnie objaśniłem go co do naszych zamiarów na przyszłość. Był bardzo uprzejmy i nie zadawał nam żadnych pytań, które mogłyby nas wprowadzić w zakłopotanie; pożegnawszy się z nim, wyszedłem znacznie uspokojony: albo nie wiedział on nic o naszych stosunkach z politycznymi, albo też nie przykładał do nich żadnej wagi.

W kilka dni po naszym przyjeździe zostaliśmy zaproszeni przez bogatego kupca Nemerowa, którego poznaliśmy przypadkowo, na przedstawieniu teatralnem, urządzanem przez amatorów z celem filan-

tropijnym. Przyjęliśmy zaproszenie, mając nadzieję zrobienia kilku pożytecznych znajomości, jak również z zamiarem pokazywania się jaknajczęściej w zaufania godnem towarzystwie. Przedstawienie było niezłe. Podczas antraktów spacerowaliśmy w przedsionku, gdzie nas przedstawiono kilku osobom wojskowym i cywilnym; zastępca gubernatora przywitał się z nami uprzejmie i, jako „wytworni Amerykanie”, będący w przyjaznych stosunkach z wysokimi urzędnikami, zwróciliśmy powszechną uwagę. Miejmy nadzieję, że nikt nie wpadł na przypuszczenie, że ci „wytworni Amerykanie” tylko po to przyjechali do Czity, aby z nihilistami i terrorystami zawiązać bliższe stosunki.

Do oficerów, których tam poznałem, należał też pułkownik Nowikow, przechadzający się po sali z kilkoma kolegami. Usłyszawszy moje nazwisko, zwrócił się on do mnie z zapytaniem:

— Czy pan był w okręgu Karskim?

— Tak jest — odrzekłem, cokolwiek zdumiony tą niespodziewaną uwagą. — Przyjeżdżamy właśnie ztamtąd.

— Cóż pan tam znalazł dobrego?—spytał znowu, patrząc na mnie badawczo.

Nie wiedziałem dobrze, co odpowiedzieć, zdawało mi się jednak, że powinienem, o ile to było możliwem, bez kłamstwa, wyrazić się pochlebnie o tamtejszych urzędnikach. Zauważyłem więc, że poznałem generała Potułowa, który mi się wydał dzielnym człowiekiem.

— Tak?—rzekł Nowikow z ironią.—Ten przed-



stawił panu prawdopodobnie wszystko w jaknajprzychylniejszym świetle.

— Jest tam bardzo dużo takich rzeczy, które nie mogą być przedstawione w takim świetle — odrzekłem.

Pytania te nie sprawiały mi szczególnej przyjemności i postanowiłem wykryć, co się po za nami chowało.

— Czy oglądał pan więzienia? — spytał Nowikow znowu.

— Oglądałem większość.

— A czy pan też widział „nagą komendę”?

— Nie. Nie wiem nawet co oznacza ta nazwa.

— Oznacza ona salę, w której znajdują się nieodziani więźniowie. Kiedy zwiedzałem urządzenie po raz pierwszy Karskie więzienia, ujrzałem w jednej z cel około 25 zupełnie nieubranych osób. Izba ta nazywa się „nagą komendą”.

— A cóż to ma znaczyć? — spytałem ze zdumieniem.

— Tego niewiem. Ludzie ci nie mieli odzieży <sup>1)</sup>. A czy ten „dzielny człowiek” pokazał panu

---

<sup>1)</sup> Dowiedziałem się później, że w „nagiej Komendzie” znajdowali się więźniowie, którzy sprzedali swą odzież, aby za odebrane pieniądze grać w karty lub pić. Za karę zamykano ich w celi i pozostawiano bez odzieży. Oczywiście, że więźniowie nie mogli sprzedać ubrania bez wiedzy i porozumienia się z dozorcami. „Naga Komenda” była więc prędzej dowodem sprzedajności rosyjskich urzędników, aniżeli oznaką okrucieństwa.



także areszty odosobnione, celkowe, w więzieniu środkowej Kary?

— Nie, nie uczynił tego. A jak się rzecz ma z temi celami?

— Nic nadzwyczajnego — odpowiedział pułkownik ze sztuczną obojętnością. -- Są one tylko za niskie, aby w nich stać, i za krótkie, aby leżeć. Panu pokazano oczywiście, tylko to, co chciano pokazać; gdybym ja tam był, widziałby pan szczególne rzeczy w takim świetle, w jakim one są w rzeczywistości, a nie w jakim je panu chciano przedstawić.

Oniemiałem ze zdumienia. Byłżeby to szczerzy pogląd pułkownika Nowikowa, czy też użył on podstępu, aby poznać moje zdanie o stosunkach w Karze?

Zdawał się nieoczekiwać wcale mojej odpowiedzi i ciągnął dalej:

— Przez trzy i pół roku byłem komendantem kozaków w Karze i gdy mnie przeznaczono przed kilkoma miesiącami do Czity, byłem tak zadowolonym, że dałem na mszę dziękczynną. Spójrz pan na moją głowę — ciągnął po chwili, — osiwiąłem zupełnie ze zmartwienia, mając ciągle przed sobą widok okropnej nędzy ludzkiej. Kiedy przyjechałem do Kary nie miałem ani jednego siwego włosa. Jak się panu zdaje, w jakim wieku ja jestem?

Odrzekłem, że może mieć 55 lat.

— Jestem o całe dziesięć lat młodszym — odpowiedział nie bez goryczy — a gdy przeznaczono mnie do Kary nie wyglądałem starzej od pana.

Zamyślił się i zamilkł.

Spytałem go, jakiego rodzaju była ta nędza, której on był świadkiem.

— Najróżnorodniejszego rodzaju — odpowiedział mi. — Nieszczęśliwych więźniów smagają różgami i batem, zmuszają ich do nadmiernej pracy po to, aby dozorca mogli się wzbogacić. Przedstawię panu przykład, aby dać panu pojęcie, co się tam dzieje: Podczas mojego tam pobytu, żona jednego z zarządzających więziami odkryła, że kochanek jej, jeden z więźniów, będący na stopie „wolnej Komendy”, utrzymuje stosunek miłosny z jej służącą, ładną dziewczyną, należącą również do zesłańców. Z zazdrości poskarżyła się swojemu mężowi i umiała tak zręcznie całą rzecz przedstawić, że ten kazał dziewczynę wysmagać. Otrzymała ona 150 różeg na gołe ciało, a gdy się poskarżyła potem przed zwierzchnością, otrzymała jeszcze 90 batów. A ja musiałem stać przy tem i czuwać nad spełnieniem kary. Czy pan myśli, że to jest przyjemne? Mam niedużo włosów — dodał, gładząc się ręką po głowie—ale ta niewielka ilość powstawała na głowie z przerażenia, gdy byłem świadkiem ohydnych okrucieństw w tych przeklętych kopalniach. Kto tam chce żyć, musi mieć żelazne nerwy.

Zdaje mi się, że wiernie oddałem jego słowa. Zrobiły one na mnie potężne wrażenie, spisałem je natychmiast po powrocie z przedstawienia. Dużo z tych poglądów musiało być skutkiem przejść osobistych. Nowikow był bezspornie z Potulowem i innymi oficerami okręgu Karskiego, w złych sto-

sunkach i dlatego był skłonny widzieć niejedno w gorszym świetle, niż było w rzeczywistości.

Nie myślcie, że wynurzenia te były poufne i odbywały się na stronie. Działo się to na środku sali, po której spacerowaliśmy w towarzystwie kilku oficerów, a pułkownik był tak wzburzonym, że nie tylko najbliżsi nasi sąsiedzi, lecz wszyscy obecni w sali doskonale jego słowa słyszeć mogli. Zastanawiającem jednakże jest to, że wyższy oficer w podobnie nieprzyjazny sposób i to publicznie wyraża się o rosyjskich instytucjach państwowych. Miałem jednakże więcej jeszcze sposobności dziwienia się tego rodzaju mowom wolnomyślnym. Tego samego wieczora przedstawił mi się jakiś oficer rosyjski i zapytał się o wrażenia z podróży po okręgu Karskim.

W przeciągu kilku chwil zadał on nam te same pytania, co pułkownik i otrzymał te same wiadomości. On też opowiadał mi o tych celach sekretnych, a także, że zamykają w nich często więźniów politycznych, nawet kobiety. Jakaś pani Rossikow przebywała w takiej celi tak długo, aż lekarz więzienny oświadczył, że umiera.

Zaprosił on mnie do siebie i zauważył, że wobec tego, iż się interesuję stanem więzień syberyjskich, to on może mi dać dużo materiału na piśmie.

Nie mogę wyjawić tutaj nazwiska, ani stanowiska tego człowieka, ale bez popelnienia niedyskrecyi mogę powiedzieć, że odwiedziłem go i że mu zawdzięczam niejedną ciekawą wiadomość, którą spożytkowałem w rozdziałach poprzednich. Sło-



wa jego potwierdzały większość faktów, słyszanych od więźniów politycznych w okręgu Karskim; opowiadał mi też o zamachu na generała Ijaszewicza i te wiadomości zgadzały się całkowicie z temi, które otrzymałem od zesłańców; pozwolił mi również wejrzeć do urzędowych papierów, które miały dla moich celów pierwszorzędne znaczenie. I to niezaprzeczenie w żadnych innych zamiarach, jak tylko w celu służenia prawdzie.

Podczas dwutygodniowego pobytu w Czicie spędzałem dzień przeważnie w towarzystwie urzędników i „dobrze myślących“ obywateli, w celu odwrócenia jakiegokolwiek podejrzenia, w nocy za to schodziliśmy się z politycznymi zesłańcami. Zastawaliśmy ich przeważnie w drewnianym domku, używanym przez nich jako warsztat stolarski, a który—jak to wspominałem za moją pierwszą bytnością w Czicie—w swoim czasie zamieszkiwali dekabryści. Dziesięciu do piętnastu stawiało się za zwyczaj. Między nimi znajdowali się mężczyźni i kobiety z wysokim wykształceniem. Poczulem dla nich dużo sympatyi i z dziwną mieszaniną radości i smutku wspominam godziny spędzone wśród nich.

Nie zawsze mówiliśmy o poważnych i smutnych stosunkach życia rosyjskiego.

Ten lub ów brał często starą gitarę i śpiewał przy jej akompaniamencie rosyjskie pieśni ludowe. My też czasami śpiewaliśmy jedną z naszych piosenek. Zdarzało się też, że śpiewaliśmy chórem pieśni rewolucyjne. Zawsze jednak powracaliśmy do głównego przedmiotu naszych rozmów, o poło-

zeniu Rosyi, o ruchu rewolucyjnym i życiu zesłańców. Tutaj słyszałem często fakty już przedtem opowiedziane, często okropne, rozdzierające serce opowieści, pozbawiające mnie w nocy snu. Bo inaczej wyglądają takie sceny wydrukowane martwemi czeionkami, a inaczej słyszane z ust tych ludzi, którzy sami przy tem cierpieli. Nie wstydzę się przyznać: słuchając tych okropności zaciskałem często mimowoli pięści i oczy mi łzami zachodziły. Wszystkie trudy podróży łatwiejsze są do zniesienia, niż wzruszenia tego rodzaju.

Oprócz tego obawialiśmy się że w każdej chwili możemy być zrewidowani i aresztowani. Nie zauważyliśmy wprawdzie, żeby nas śledzono, ale mieliśmy inny powód do obawy. Pokój sąsiadujący z naszym, w hotelu, zamieszkiwanym był przez czterech oficerów, był wśród nich jeden kapitan i jeden pułkownik żandarmerji. Frost usłyszał pewnego dnia przez cienką ścianę rozmowę, w której roztrząsali naszą podróż po Syberji i zastanawiali się czy nie byłoby dobrze przywłaszczyć sobie nasze papiery, a przynajmniej przejrzeć je dokładnie.

Jednej z ostatnich nocy naszego pobytu w Cziecie powróciłem z odwiedzin politycznych około godziny drugiej. Ulice były ciche; w oknach naszego hotelu ciemno, stróż, który mi otworzył, miał wygląd zaspany. Frost spał mocno w naszym wspólnym pokoju. Byłem za bardzo wzruszony opowiadaniem zesłańców, aby znaleźć sen, zapaliłem więc świecę i położyłem się na podłogę, głową w kierunku cienkiej ściany, dzielącej nasz pokój od oficerskiego. Oprócz tego prowadziły do tego po-

koju drzwi, wprawdzie zamknięte ale mające szeroką szparę, przez którą można było każdy wyraz słyszeć i prawie wszystko widzieć co się działo u sąsiadów.

Nie słyszałem jednak nic oprócz regularnego oddechu śpiącego Frosta. Nagle ciszę przerwał głośny huk wystrzału rewolweru i kula utkwiała tuż nad moją głową po drugiej stronie ściany. Zerwałem się i słuchałem. Nic się nie poruszyło, tylko szmer spadającego tynku ze ściany.

Frost obudził się i spytał:

— Co to było?

— Ktoś wypalił z rewolweru w ścianę — szepnąłem.

— Która godzina?

— Około wpół do trzeciej, Cicho! Słuchajmy.

Nastawiliśmy uszu przez kilka chwil. Nic nie było słyhać, głęboka cisza panowała w całym domu.

A jednak wiedziałem, że obok znajduje się czterech mężczyzn.

Czyżby jeden z nich miał popełnić samobójstwo? Ale w takim razie reszta byłaby zię zerwała i zapalonooby światło.

Huk był tak głośny, że musiał być słyszany w całym domu, a cisza, która po nim nastąpiła, była jeszcze bardziej podejrzana, aniżeli sam strzał.

— Zapytajmy, co to ma znaczyć — szepnął Frost.

— Nie!—odpowiedziałem w ten sam sposób.— Co to nas obchodzi. Nie jesteśmy przecież ranieni. Obawiałem się być wciągniętym w ciemną



sprawę, która mogłaby służyć policji za pretekst do zrewidowania naszych rzeczy. Wydawało mi się więc najlepszem pozostać, jak mówi rosyjskie przysłowie „ciszej wody, niżej trawy” — i czekać co nam jutro przyniesie. Nie mogłem przypuścić, że strzał był skierowany do nas w złych zamiarach.

Po kilku chwilach usłyszałem znowu szmer, jakgdyby ktoś przygotowywał się do strzału, potem znowu szept, z którego tylko zrozumiałem za pytanie ile nabojów jeszcze pozostało. Potem znowu nastąpiła cisza i już przez całą noc żaden dźwięk nie doszedł nas z sąsiedniego pokoju.

Co ten strzał w późną noc w ciemnym pokoju miał właściwie znaczyć, tego nie dowiedziałem się nigdy. Przypuszczam, że chodziło tu o zażartowanie z nas. Gdyby mnie następnego dnia spytano o cośkolwiek, byłbym odpowiedział: strzały z rewolweru w nocy nie są niczem nadzwyczajnem w hotelach amerykańskich; dziwno mi tylko, że następnego ranka nie wyniesiono trupów.

Czy policja na razie wiedziała o naszych stosunkach z politycznymi więźniami, tego nie wiem; później dowiedziała się o tem bezwątpienia, a potwierdził mnie w tem mniemaniu takt, że list jedy-ny, który ztamtąd otrzymałem od kupca Nemerowa, zawierający obojętne wiadomości, doszedł mnie odpieczętowany.

Najważniejsze papiery nosiłem dotychczas w skórzanym pasie pod ubraniem; z czasem stawał się on jednak zbyt ciężkim i musiałem poczynić przygotowania w celu innego zabezpieczenia papierów i to z całą ostrożnością, gdyż możliwość rewi-

zyi, jak widzimy z poprzedzających faktów, nie była niemożliwą. Większą część schowałem w potajemnej skrytce mojego kufra, gdzie prawie niepodobna je było odnaleźć. Resztę ukryłem pomiędzy książkami. Tych ostatnich przywieźliśmy wprawdzie niewiele, ale zesłańcy w Czieie dali mi kilka tomów. Jeden specjalnie ważny list ukryłem za ramą obrazu.

W środę, 9-go grudnia, pożegnaliśmy politycznych, rozdzieliliśmy pomiędzy nimi kilka drobnośtek jako pamiątkę i w kilka godzin później jechaliśmy galopem w kierunku Irkucka. Pięć dni i pięć nocy jechaliśmy bez godnej uwagi przerwy. Jezioro Bajkalskie nie stanęło jeszcze, ale statki już nie odchodziły, musieliśmy więc wybrać wysoką, pięknie położoną drogę, ciągnącą się wzdłuż południowego brzegu jeziora.

W poniedziałek wieczór, 17 grudnia, na oddaleniu zaledwie 100 kilom. od naszego celu natrafiliśmy na przeszkodę: mianowicie nie było koni. Od trzech miesięcy odcięci od cywilizowanego świata, przez dziesięć tygodni bez wiadomości od rodziny, pragnęliśmy jaknajprędzej dotrzeć do stolicy wschodniej Syberyi. Wynajęliśmy więc sanie, aby dojechać do następnej stacyi pocztowej; przytem nie mieliśmy pojęcia, jakie przejścia nas czekały.

Mróz był straszny. Droga szła przez wysoką górę, pokrytą lasem.

Wyglądzone chłopskie konie, przebiegłszy jako tako kilka kilometrów nie chciały ciągnąć sań pod górę, byliśmy więc zmuszeni zsiąść i przy 20 stopniach mrozu przejść na piechotę część drogi.

Nawpół żywi, padając kilkakrotnie na ostatnich pagórkach, które mieliśmy przebyć, doszliśmy o 2-ej popołudniu do poczty.

We wtorek przybyliśmy do Irkucka i nie zajechaliśmy do hotelu „Moskwa”, w którym stanęliśmy potem; udaliśmy się na pocztę i przeczytaliśmy przedewszystkiem czekające na nas listy, których było przeszło pół setki.

Pomimo straszego mrozu Angara nie była jeszcze zupełnie zamrzniętą, a ponieważ przewóz nie funkcyonował, a most wogóle nie istniał, nie mogliśmy więc przedostać się na drugi brzeg. Przez trzy tygodnie czekaliśmy aż na rzece utworzy się twarda powłoka, a gdy to nie nastąpiło, zdecydowaliśmy się pojechać w górę o 150 kilom. gdzie, jak twierdzili chłopi, rzeka już mocno była stanęła. Sprzedaliśmy nasz stary tarantas, który tu pozostał, kupiliśmy sanie i pojechaliśmy 8 stycznia trójką koni pocztowych.

Podczas drogi, około 10 kilom. pod Irkuckiem znajdowało się więzienie Aleksandrowskie, uchodzące za jedno z największych i najlepszych, a będące pierwotnie gorzelnią. Obejrzelśmy je. Zastępca gubernatora w Irkucku przedstawił mi je jako rodzaj modelu, a ponieważ nic podobnego jeszcze w Syberyi nie widziałem, więc byłem tembardziej ciekawy.

Dyrektor więzienia Szypagin, sympatyczny, wykształcony oficer około lat 40 był już przygotowany na nasz przyjazd. Obstawał przedewszystkiem przy tem, abyśmy u niego zjedli śniadanie,



a gdy uczyniliśmy zadość jego życzeniu, zaprowadził nas do więzienia.

Był to budynek z cegły, o dwóch piętrach blaszanym dachu; stał na obszernym dziedzińcu, otoczonym murem. Budowany nieco nieregularnie miał 160 metrów długości na 36 szerokości; zawierał 75 cel wspólnych, 10 pojedynczych i 5 tajemnych dla specjalnych więźniów. Znajdowało się w nich 992 więźniów, a 99 żyło już na stopie wolnej komendy.

Dyrektor pokazał nam przedewszystkiem młyn, w którym około 100 więźniów pracowało nad zaopatrzeniem więzienia w dostateczną ilość mąki. Powietrze tutaj było czyste, robota wprawdzie bardzo męcząca, ale nie wyczerpująca. Mężczyźni kręcący koła rozpędowe, skoro tylko poczuli zmęczenie zmieniali się. Dyrektor utrzymywał, że to jest najuciążliwsza praca, lecz bywa wykonywana tylko przez trzy do czterech godzin dziennie.

Następnie zwiedziliśmy cele, bardzo różnorodne co do wielkości, lecz nigdy nie przepełnione; wszędzie panowała najzupełniejsza czystość. Jedyne, co mógłbym tu zarzucić, to brak pościeli.

Wszystkie cele były zaopatrzone w aparaty wentylacyjne, z których niektóre były zatkane przez samych aresztantów. W korytarzach też panował ład i porządek.

Następnie udaliśmy się do kuchni, w której codziennie gotuje się dla przeszło tysiąca osób. Tutaj też nie znalazłem nic ujemnego. Skosztowałem chleba i zupy więźniów, wydały mi się smaczne. Dyrektor objaśnił mi, że więźniom otrzymuje dzien-

nie 3 tuncy chleba, siedem uncyi mięsa, trzy uncyce kaszy; często trochę kartofli lub jarzyny. Herbaty i cukru więźniowie nie otrzymują, ale nie jest im wzbronione kupowanie jej za własne pieniądze. Pan Szipagin spytał czy życzymy sobie obejrzeć szkołę. Odpowiedziałem, oczywiście, twierdząco i zauważyłem, iż nie miałem pojęcia, że można znaleźć i szkołę przy więzieniu rosyjskiem.

Była to czysta, widna izba na drugim piętrze, w której stały pulpity, zrobione przez więźniów, ozdobiona kartami geograficznymi, globusami i obrazkami. O tej porze nie było lekcyi, lecz dyrektor objaśniał mnie, że więźniowie przychodzą też często na śpiew chórally lub posłuchać kazania duchownego. Książek jest oczywiście brak wielki.

W pracowniach około 30 więźniów zajmowało się krawiectwem, szewctwem i stolarstwem; tu też panował zupełny porządek. Dyrektor objaśnił mnie, że więźniowie mogą się zajmować rzemiosłem, które im jest znane i  $\frac{2}{3}$  zarobku do nich należy. Z tego połową mogą rozporządzać, a druga połowa wydawaną im bywa przy wyjściu ich z więzienia.

Oddział dla chorych miał tylko 42 chorych. Powietrze tu było też czyste i zauważyłem ten sam ład, jak w innych częściach.

Dyrektor był niezmiernie rad, gdy rzekłem, że mam dla jego więzienia słowa jedynie pochwały. Modełowem więzieniem nie było ono wprawdzie, ale mogło służyć za wzór wszystkim syberyjskim więzieniom bez wyjątku.

W sobotę wieczór zwiedziliśmy jeszcze raz więzienie, chcąc się przekonać, w jakim stanie się

ono znajduje, gdy więźniowie udali się na spoczynek. Spali oni rzędami na tapczanach i zrywali się przerażeni przy naszym wejściu; nie czynili jednak uwag i my też szliśmy mileząc. Obejrzeliśmy tak sześć czy siedem cel. Wszędzie stały kubły z nieczystościami, powietrze nie było tak czyste, jak we dnie, ale nie tak złe, jak w innych więzieniach. W ogólności więzienie Aleksandrowskie zasługuje na pochwałę i zaznaczam to usilnie dlatego, że dotychczas nie miałem najmniejszej sposobności do podobnego wyrażania się o jakimkolwiek innem więzieniu syberyjskiem.

W poniedziałek udaliśmy się w dalszą drogę. Była ona przedtem wodą zalaną i posuwanie się naprzód po ślizkim, pokrytym lodem, gruncie było niezmiernie utrudnione. Wreszcie musieliśmy, wobec tego, że droga stawała się coraz bardziej spadzistą, odważyć się na puszczenie się po cienkiej powłoce lodu, która się też niedaleko wioski Ołon pod nami załamała. Na szczęście mieliśmy szerokie sanie, które nie tak łatwo się zanurzały, więc udało nam się, choć z trudem, wydobyć je z wody. Następnie przecięliśmy uprząż, wyprowadziliśmy nasze konie, i za pomocą innych wyciągnęliśmy sanie na lód i powróciliśmy do Ołonu, aby naprawić uszkodzony zaprzęg.

Idąc za radą wieśniaków, zaniechaliśmy zamiaru podróżowania po lodzie, tembardziej, że się ściemniało, a powtórne załamanie się powłoki lodowej na rzece mogłoby mieć poważniejsze skutki.

Nad wieczorem jakiś młody wieśniak, złakomiwszy się widocznie na zapłatę 15 rb. podjął się



przewiezienia nas boczną drogą do następnej wsi. Śnieg leżał niezbyt wysoko i, mając nadzieję, że jakoś uda nam się przebrnąć, udaliśmy się w nocy w dalszą drogę.

Podczas naszego całego pobytu w Syberyi nie zdarzyło się nam spędzić okropniejszej nocy, niż ta. Było przeraźliwie zimno, a na domiar złego podniosła się straszna zawieja śnieżna. Padaliśmy w zaspy śnieżne, zgubiliśmy drogę, często trzeba było wysiadać z sań i pomagać zmęczonym koniom wyciągać je ze śniegu. W końcu nie mieliśmy sił do niczego.

Nad ranem poczułem dotkliwe klucie w płucach i wkrótce potem zupełnie nie mogłem utrzymać się na nogach. Pozostawiłem woźnicy do spółki z Frostem pieczę nad wszystkimi trudnościami i zakopałem się w saniach, gdzie wkrótce straciłem przytomność. Co się działo do rana, o tem nie mam najmniejszego pojęcia.

Późno już było, gdy zbudziło mnie szczekanie psa i z uczuciem radości ujrzałem dym, unoszący się z kominów pobliskich domów. Była to wioska Paszka. Ogrzawszy i posiliwszy się, udaliśmy się znowu dalej, chcąc przed wieczorem jeszcze przebyć pokrytą twardym lodem rzekę Angarę.

---

## Podróż w zimie przez Syberyę.

W piątek, 8-go stycznia 1886 r. opuściliśmy, ja i Frost, Irkuck, główne miasto Syberyi, aby się udać w powrotną drogę do Petersburga. Przestrzeń do przebycia wynosiła cztery tysiące mil (angiel).. Marszruta, którą sobie wytknęliśmy, różniła się nieco od tej, jakiej trzymaliśmy się w naszej podróży na Syberyę; wiodła ona przez dwa, ważne miasta, których jeszcze nie zwiedziliśmy, przez Minusinsk i przez Tobolsk. Pierwszego zamierzaliśmy dosięgnąć, skręcając na południe od Krasnojarska na czterysta mniej więcej mil; drugiego—wybierając między Omskiem i Tiumentem kierunek, więcej zbliżający się ku północy, niż ten, jakiego trzymaliśmy się w naszej podróży ku wschodowi.

Nasze wyekwipowanie na ten długi i uciążliwy przejazd składało się z mocno zbudowanej „powozki” — bryki, z niskimi płozami i szerokimi podporami, oraz z rodzajem daszka, który można było podczas złej pogody zamknąć przy pomocy

zasłony skórzanej z ciężkiego worka z kozucha owczego, który miał sześć stóp szerokości i dziewięć długości, w którym mogliśmy obaj leżeć obok siebie, wyciągnąwszy się wzdłuż; z ośmiu albo dziesięciu materaców i poduszek różnej wielkości, które służyły do zapelnienia pustej przestrzeni między pakunkami i które łagodziły siłę wstrząśnień na nierównej drodze; z trzech dla każdego sztuk wierzchniej odzieży, podbitych miękkim z długą sierścią futrem owczym, tak stopniowanych pod względem wielkości i wagi, aby odpowiadały potrzebom przy każdej pogodzie od punktu zamarzania aż do 80 stopni Fahrenheita; z długich, ciężkich butów filcowych, w rodzaju znanym na Syberji pod nazwą „walenki”; z czapek futrzanych, rękawic i z nieznacznej ilości prowiantu, składającego się głównie z herbaty, cukru, chleba, skondensowanego mleka, gotowanej szynki, zup w tabliczkach i kilku cietrzewi pieczonych.

Gdyśmy ciężkie nasze bagaże o ile można było najstaranniej upakowali na dnie „pawozki”, aby tworzyły one równe i gładkie posłanie, zatkaliśmy jeszcze szczeliny materacami i poduszkami, pokryliśmy zwierzchu to wszystko warstwą słomy na 12 cali grubości, położyliśmy na to odzież zwierzchnią zapasową, kołdry i wielki wór futrzany, a chleb, gotowaną szynkę, pieczone cietrzewie włożyliśmy w słomę w ten sposób, abyśmy mogli na nich siedzieć i przytem zabezpieczać je od zimna<sup>1)</sup>, wresz-

1) Przy temperaturze 40° niżej zera gotowana szynka zamienia się w masę, niezdatną do jedzenia, trzeba ją rąbać siekierą.



cie zaopatrzyliśmy jeszcze tylne oparcie sań w materace.

W piątek, o godzinie 10-ej rano, wszystko było gotowe do odjazdu, i gdy kuczer zajechał końmi przed stację pocztową, zanuciliśmy „Home sweet Home”, jako prolog do następnego aktu, siedliśmy na „pawozkę”, chowając nogi w obszerny worek z futra owczego i ruszyliśmy z przed hotelu „Dan-ko”, żegnani chórem życzeń i okrzyków „Bądźcie zdrowi panowie!” „Niech wam da Bóg szczęśliwą drogę!”, jakimi żegnała nas gromada służby hotelowej i oficjalistów.

W poprzednim rozdziale p. t. „Przygody w Syberyi wschodniej” opisałem już wydarzenia pierwszych dni czterech po naszym wyjeździe z Irkucka, oraz nasze odwiedziny w więzieniu centralnem w Aleksandrowsku i uciążliwą podróż wzdłuż nawpółzamarzłej Angary aż do małej osady Kamienka. W pobliżu tej miejscowości przebyliśmy rzekę po zwałach lodowych, przegradzających rzekę, dostaliśmy się na brzeg jej zachodni i spędziliśmy noc na stacji pocztowej Cheromka, na wielkim wojennym trakcie syberyjskim.

Na Syberyi jest we zwyczaju, gdy się jedzie pocztą, jeździć dniem i nocą bez zatrzymywania się dłuższego. Cierpiałem jeszcze wskutek trudów przeszłych nocy, które dały nam silnie odczuć w górach zawieje i zimna, i przy każdym odetchnięciu gwałtowny, kłujący ból w jednym płucu ostrzegwał mnie, że byłoby rozsądniej pozostać pod dachem w ciepłe, zanim oddech nie stanie się swobodniej-

szy. Ale bardzo było trudno na tej stacyi pocztowej zachować ciepło koło siebie. Przez całą noc zatrzymywali się tam podróżni dla zmiany koni, albo zagrzania się herbatą; i przy każdym odemknięciu drzwi zawiewał wiatr zimny na gołą podłogę, na której leżeliśmy, tak, iż wilgoć atmosfery zgęszczała się w szron lodowaty i temperatura izby spadała z dwudziestu na trzydzieści stopni w tyleż minut. Byłem tak ostrożny, że wziąłem z sobą do izby nasz wielki wór futrzany i gdy się w jego głębi kopałem unikałem nie tylko przeziębienia, ale nawet użyłem jakby leczniczego w ten sposób środka, gdyż wywołało to u mnie pot obfity. Wypędziło mi to ból z płuca i rano poczułem się zdolny do odbywania dalszej podróży. Obaj nie mogliśmy spać w drodze; zresztą dla zahartowanych podróżnych syberyjskich, obejście się bez snu w ciągu jednej, albo dwóch nocy nie stanowi wielkiej przykrości. Nie sądzę, aby Frost w ciągu całego tygodnia, jaki spędziliśmy w podróży między więzieniem centralnem w Aleksandrowsku i Krasnojarskiem, przespał choć dwie godziny bez przerwy. To też, gdyśmy przybyli do wspomnianej miejscowości, położył się on natychmiast w ubraniu i przespał bez przerwy sześćnaście godzin.

W różnych wsiach, przez które przejechaliśmy między Cheromką i Niżnibińskiem, więzienia etapowe napełniali bezwątpienia zesłańcy. Nie widzieliśmy jednak wcale zesłańców aż do środy, gdyśmy ich ujrzeli niespodzianie podczas odbywanego przez nich pochodu.

Dzień był zimny i słotny, dał silny wiatr i wy-

wolywał zamieć śnieżną, leżeliśmy na wpół zagłębieni w naszym worku futrzanym i przejeżdżaliśmy właśnie ostatnią wiorstę przed stacją pocztową. W powietrzu tak gęsto wirowały płatki śniegu, że widać było drogę zaledwie na odległość ośmdziesięciu do stu metrów; i oddział zesłańców ukazał się tuż przed nami, gdyśmy zauważyli, że nie był to szereg „obozów“ (sań frachtowych), jak mniemaliśmy przedtem. Dokładnie rozpoznaliśmy, co to było, gdy czoło pochodu tak zbliżyło się do nas, że mogliśmy dostrzedz strzelby poprzedzającego pochód plutonu kozaków i usłyszeć szczęk kajdanów więźniów. Kazałem naszemu „jamszczykowi“, aby skreślił w śnieg głęboko na skraju drogi i tam przystanął. Ogólny wygląd tego oddziału był bardzo odmienny od innych, które obserwowałem przy wychodzeniu ich z Tomsku w sierpniu. Tamci skazańcy nosili wszyscy lekką odzież i twarze mieli mocno opalone od słońca; otaczał ich obłok żółtego kurzu, który podnosiły ich powłóczące stopy w pantoflach na zapyłonej drodze. Ci zaś zesłańcy, których mieliśmy przed sobą, byli wszyscy w czerwonych „połuszubkach“, (krótkie kozuszki) i mieli „brodnie“, (wysokie buty skórzane) na nogach. Twarze ich stały się z powodu długiego pobytu w więzieniu w Tomsku, blade, i szli tak powoli, z trudnością po świeżo spadłym śniegu. Porządek pochodu był taki sam jak w lecie, tylko zdawało mi się, że wskutek zamieci i stanu drogi dyscyplina się nieco rozluźniła; panował nieład i było wielu maruderów. Odzież maszerujących skazańców składała się z szarej grubej czapki, obwiązanej chustką do nosa, wytartym kolnie-



rzem barankowym albo starą pończochą dla ochrony uszu, połuszułka z czerwonawą skórą z wierzchu, wysokich obszernych butów skórzanych, które dla utrzymania ciepła w stopach wypchane były sianem, wełnianych spodni, rodzaju kamaszy wełnianych i grubych rękawic skórzanych. Kajdany nożne nosili po większej części pod cholewami, a łańcuch, łączący je, przymocowany był w środku rzemienia- mi do pasa, otaczającego biodra. Od tego punktu środkowego zwieszał się łańcuch po obu stronach między spodniami i butami, aż do kostek. Z pewne mi nieznaczniemi zmianami—czapka futrzana zamiast zwykłej, zbyt lekkiej i t. p.—odzież ta, jak mi się zdawało, przy zwyczajnej pogodzie zimowej mogła być dostateczną dla ludzi, w których krew krąży żywiej, wskutek ruchu; nie była ona w żadnym razie wystarczającą dla chorych lub słabowitych zesłań- ców, którzy w ciągu jakich ośmiu lub dziesięciu godzin podróży, wystawieni byli na całą srogość niepogody.

Zauważyłem pewną ilość takich, którzy le- żeli w ciasnych, niedogodnych, jednokonnych san- kach i stanowili ogon pochodu. Stłoczeni i skur- czeni leżeli tam oni jeden koło drugiego, jakby się chcieli ogrzać we wzajemnem zetknięciu. Wydawali się oni na wpół zmarzłymi.

Gdy bezładny pochód nas mijał, tu i owdzie opuszczał jaki skazaniec szeregi, prawdopodobnie za zezwoleniem straży, podchodził ku nam i prosił z gołą głową, podstawiając czapkę w jęśliwym śpie- wnym tonie pieśni więźniów o „miłosierdzie w imię Chrystusa dla skazańców”. Wiedziałem, że udzi-

lany im pieniądz przegrają lub przejdzie on do rąk „majdanszczyka“, za wódkę. („Majdanszczyk“ zajmuje wśród oddziału skazańców mniej więcej takie same stanowisko, co markietanin wśród żołnierzy. Jest to wprawdzie więzień, ale wolno mu zgodnie z utartym zwyczajem trzymać mały sklepik przedmiotów zbytku, jak herbata, cukier, chleb biały i sprzedawać je zesłańcom. Handluje on przytem także przy pomocy przekupionych przezeń żołnierzy tytuniem, kartami do gry i wódką). Ale ci nieszczęśliwi [wyglądali na tak zmarzniętych, znużonych, głodnych i wynędzniałych, że uczucie zwyciężało rozsądek i w każdą z podstawionych mi szarych czapek rzuciałem po kilka kopiejek. Skazańcy wpatrywali się w nas ciekawie, gdyśmy koło nich przejeżdżali; jedni pozdrawiali nas uprzejmie, inni zdejmowali czapki i po pięciu minutach znikali z przed naszych oczu, i długa, ciemna, falująca linia to było wszystko, co jeszcze dostrzedz było można przez zasłonę zamieci śnieżnej.

Po tem spotkaniu pochodu zesłańców, żadne już godniejsze uwagi zdarzenie nie przerwało jednostajnego życia, podczas dzień i noc trwającej podróży. Tu i owdzie spotykamy bogatego kupca lub oficera, którzy jechali pośpiesznie pocztowemi końmi do Irkucka, albo mijaliśmy długi szereg prostych sanek jednokonnych, które naładowane były skrzyniami herbaty w jasnych opakowaniach, wiezionemi na jarmark w Niżnim-Nowgorodzie, ale nie widzieliśmy już żadnych zesłańców. Okolica, przez którą jeździliśmy, była słabo zaludniona i nie zajmująca.

Nędzne wioski, w których zatrzymywaliśmy

się, aby zmienić konie, lub orzeźwić się herbatą, były dosłownie zakopane w śniegu. Na stacyi pocztowej Kamiszatskaja, w odległości 530 wiorst od Irkucka, spotkaliśmy dwóch przestępców politycznych, Samarina i Petersona, którzy ukończyli właśnie czas „zesłania drogą administracyjną“ do Syberyi Wschodniej i znajdowali się w drodze powrotnej do Rosyi europejskiej. Przed kilku tygodniami zaznajomiliśmy się z nimi w Irkucku i umówiliśmy, aby pojechać wraz z nimi, o ile by to było możliwe, do Krasnojarska. Marszruta nasza jednak oddaliła nas nieco od nich i wskutek zatrzymania się naszego w więzieniu centralnem w Aleksandrowsku i rozmaitych wydarzeń na Angarze pozostaliśmy w tyle za nimi. Powitani przez nich po przyjacielsku, spożyliśmy z nimi wieczerzę i po paru godzinach ożywionej rozmowy, w której opowiadaliśmy sobie wzajemnie rozmaite przygody i wypadki, włożyliśmy na siebie ciężkie futra, wleźli na naszą powózkę i pojechali dwoma trójkami razem.

Gdyśmy we czwartek, 14 stycznia, zbliżyli się do miasta Kamska, niebo wyjaśniło się i powietrze nagle oziębiło. Termometr spadł w nocy do trzydziestu stopni niżej zera, a nocy następnej nawet aż do czterdziestu.

Nie przerywaliśmy naszej podróży, ale silnie cierpieliśmy z powodu zimna, zwłaszcza w czasie między północą i świtem, gdy niemożliwem było dostać na stacyach czegoś gorącego i nasze siły żywotne dosięgały wtedy najniższego punktu. Mimo ciężaru i grubości naszego odzienia byliśmy między oddzielnymi stacyami tak zeszytywniali z zimna, że



zaledwie mogliśmy wysiąść z powózki naszej. O śnie nie mogło być wtedy naturalnie mowy. Pod wpływem połączonego działania tuzina zamieci śnieżnych północnych i czterech do pięciu tysięcy ciężkich sań frachtowych, śnieg głęboki, który zaścieślał drogę, spowodował powstanie na niej szeregu ogromnych wzniesień poprzecznych, silnie ubitych, które podróżnikom znane są pod nazwą „uchabów.” Te stwardniałe masy śniegu miały około pięciu stóp wysokości i do dwudziestu stóp szerokości. Trzęsienie i przechylenie się naszej powózki, gdy przebywała taki pagórek, aby zaraz spuścić się na dół, wstrząsało w nas wszystkie członki i szarpało, zdawało się, za każde włókno nerwów zosobna. Wskutek zimna, bezsenności, wstrząśnień, byłem w końcu tak wyczerpany, że rzuciłbym się był na każdej stacyi, zwłaszcza w nocy na podłogę, bez kołdry i poduszki, aby tylko przespać się choć te kilka minut, w ciągu których przepręgano konie. Na odludnej stacyi Kuskumskaja położyłem się jednej nocy na drewnianej ławce w pokoju gościnnym i zasnąłem mocno.

Ocknąłem się, straciwszy świadomość, gdzie się znajduję, nademną pochylały się dwie postacie, których nie mogłem sobie przypomnieć, bym je kiedy widział. Jedna z nich, wysoki, silny mężczyzna z bujnym czarnym zarostem czerkiesa i błyszczącymi niebieskimi oczyma, odziany był w długą, szamerowaną „kuklankę” (ciężkie futro, spadające do łydek, które podtrzymuje pas naokoło bioder) ze skóry renifera i w długich butach futrzanych, drugi zaś wyglądał na urzędnika, ubrany był

w mundur niebieski z podwójnym rzędem guzików mosiężnych, trzymał on nad moją głową lampę nąftową.

— Co się z panem dzieje, mister Kennan?— pytała postać w reniferowej kuklance. — Jęczy pan tak, jak gdyby pan był chory.

Gdy mi zwolna wróciła świadomość, poznałem w pytającym mego towarzysza podróży, zesłańca Petersona, a w urzędniku pocztmistrza.

— Miałem jakiś sen przykry — odrzekłem. — Jak długo spałem?

— Jesteśmy tu dopiero dziesięć minut—zauważył Peterson, spoglądając na zegarek. — Nie sądzę, aby pan spał dłużej nad pięć minut. Konie gotowe.

Z zeszywniałemi, obolałemi członkami wgramoliłem się napowrót na powózkę i puściliśmy się w ponurą, nocną podróż.

Między Kuskuskaja i Krasnojarskiem doświadczyliśmy najniższej temperatury w ciągu tej zimy: czterdzieści pięć stopni niżej zera, i mieliśmy sposobność znowu obserwować zjawiska, jakie zobaczyć można tylko przy najsilniejszym zimnie. Podczas całego tego czasu kłęby pary unosiły się z ciał naszych koni. Karawany wozów frachtowych zawsze otaczała mgła i często, gdyśmy je minęli, widzieliśmy, że na przestrzeni ćwierci mili drogę pokrywały opadki pary. Gdyśmy otwierali drzwi, wiodące do domu stacyjnego, zdawało nam się, jakby przed nami przenikał przez nie ogromny obłok pary. Małe obłoczki pary unosiły się w zagłębieniach i obramowaniach okien i drzwi i w ciepłej

izbie tworzyły się sople lodowe, a z ram okiennych wystawał na zewnątrz biały szron na pół cala grubości.

Przez całe dni 15 i 16 stycznia zatrzymywaliśmy się prawie na każdej stacyi, aby się napić herbaty i mimo to nie mogliśmy się rozgrzać. Przyczyną tego był szczególnie silny mróz, a w części i to także, że co jakie pięć do dziesięciu mil zmuszeni byliśmy schodzić z powózki i pomagać koniom ciągnąć ją przez głębokie, miękkie zasy śnieżne, okalające drogę po brzegach, na które musieliśmy skręcać, aby pozwolić przejechać obok nas długiemu szeregowi sań frachtowych.

W niedzielę, 17 stycznia, w dziesięć dni po wyjeździe naszym z Irkucka, dojechaliśmy do miasta głównego, prowincyi Krasnojarska, przebywszy więcej, niż siedemset kilometrów. Frost i ja zajęliśmy do tego samego hotelu, w którym mieszkaliśmy podczas naszej podróży w odwrotną stronę zeszłego lata, a Samarin i Peterson zatrzymali się w domu jednego swego znajomego.

Podczas naszego trzydniowego pobytu w Krasnojarsku odnowiliśmy naszą znajomość z panem Innocentym Kuzniecowerem, bogatym właścicielem kopalni, w którego domu przed pięciu miesiącami w drodze na wschód przyjęto nas tak gościnnie. Śniadanie zjedliśmy u pana Sawenkowa, dyrektora szkoły normalnej w miasteczku. Jego zbiór okazów archeologicznych i odcisków gipsowych zainteresował nas bardzo.

Popołudnie spędziliśmy u pułkownika Zagarina, inspektora transportu zesłańców na Syberję.



Za jego zezwoleniem zwiedziliśmy w środę dokładnie tamtejsze więzienie miejskie, więzienie transportowe i szpital więzienny; i ucieszyło mnie, że o nich wszystkich mogłem wyrazić się tylko dobrze.

Więzienia, naturalnie, były dalekie od tego, by mogły służyć za wzór i nie wątpię, że w pewnych porach roku są one mniej lub więcej zanieczyszczone i przepelnione; ale gdyśmy je oglądali, były one w lepszym stanie, niż wszystkie inne więzienia, które udało nam się widzieć w Syberyi, wyjąwszy tylko więzienie wojskowe w Ust'-Kamienogorsku i więzienie centralne w Aleksandrowsku pod Irkuckiem.

Znajdujący się przy więzieniach w Krasnojarsku szpital wydał mi się godnym bezwzględnej pochwały. Utrzymany był on w największej czystości, doskonale przewietrzany, zaopatrzony w pościel, lekarstwa, instrumenty i środki chirurgiczne obficie, krótko mówiąc znajdował on się w stanie, nie zasługującym na żadne zarzuty. Naturalnie nie jest to niemożliwem, że w końcu lata, albo w jesieni wczesnej, gdy przyływ zesańców dosięga swego najwyższego punktu, szpital ten bywa również przepelniony i niezdrowy, jak i szpital więzienia transportowego w Tomsku; ale w czasie, w którym go oglądaliśmy, ja sam nie wahałbym się w nim pozostać, gdyby tego zaszła potrzeba.

Więzienie karne w Krasnojarsku była to budowla dwupiętrowa z cegły, pod względem stylu podobna do więzienia transportowego w Tiumeniu. Jego „kamery” (wspólne cele) były wprawdzie dość

szczupłe, ale żadna nie wydawała się przepelnioną, i napisy nad drzwiami jak „mordercy,” „bezpaszportowi,” „polityczni“ wskazywały, że zrobiono przynajmniej próbę, aby więźniów rozklasyfikować i odpowiednio rozmieścić.

W większości sal były wiatraczki wentylacyjne, albo rury odprowadzające; kamienna posadzka w korytarzach była czysta, urządzenie klozetów było w dobrym stanie, i chociaż powietrze w kilku salach było ciężkie i zastale i czuć się dawał właściwy więzieniom zaduch, można jednak było bez trudności oddychać, bez odczuwania wstrętu i zadawania sobie przymusu, jak to było w przepelnionych więzieniach w Tiumeniu, Tomsku, Irkucku i w kopalniach.

Więzienie transportowe znajdowało się obok miejskiego na placu, ogrodzonym sztachetami i składało się z trzech długich jednopiętrowych baraków, zbudowanych na podobieństwo takiego samego w Tomsku. Nic tu nie uderzało w oczy nowego ani interesującego. Była w nim zaledwie połowa liczby więźniów, którzy tam mogli się pomieścić. Niektóre sale były puste, a powietrze wszędzie świeże i dobre.

Szczęśliwym trafem zwiedzaliśmy więzienie właśnie w chwili, gdy stąd wychodził pochód oddziału, liczącego 270 skazańców mężczyzn do prowincji Irkuckiej i do kopalni i więzień kraju Zabajkalskiego. Był niezmiernie mroźny poranek. Około dwóch trzecich przygotowanego oddziału chodziło po podwórzu więziennem tam i napowrót i próbowało rozgrzać się ruchem, oczekując na po-

zostałych, których badał lekarz. Popatrzywszy na nich przez chwilę, weszliśmy do nowego, wielkiego baraku, który stał nieco na boku w pewnem oddaleniu od właściwego więzienia i spotkaliśmy tam lekarza więziennego, inteligentnego z sympatycznym wejrzeniem człowieka, który tani był zajęty badaniem około osiemdziesięciu skazańców, co zameldowali się, że są niezdolni do marszu.

Dla mego niedoświadczonego oka wydawali się oni wszyscy zbyt chudzi bledzi, i wynędzniali, aby mogli odbyć 20 mil marszu po takiej drodze. Ale po krótkiem badaniu, za pomocą zapytań, dotykań i stetoskopu odrzucił lekarz dziewięć dziesiątych ich skarg, jako symulowanych lub bezasadnych; dla pozostałych rozkazał dostarczyć sań. W mniej niż półgodziny wszystko było do pochodu gotowe. Straż z karabinami na ramieniu utworzyła przed bramą szpaler dla przepuszczenia oddziału. Kowal więzienny ukazał się z młotkami, nitami i zapasowem żelazem i badał pilnie kajdany nożne skazańców, gdy przechodzili powoli. Słabi wleźli na sianie jednokonne, które na nich czekały. Podoficer policzył jeszcze raz więźniów, aby się upewnić, że żadnego nie brak; i na komendę „marsz” ruszył z miejsca cały pochód, przy czem żołnierze, idący na czele pochodu maszerowali w tak szybkim tempie, że niektórzy z więźniów zmuszeni byli biec. W trzy minuty zniknęli nam z przed oczu.

Oddziały zesłańców wychodzą podczas zimy z Tomaska i Krasnojarska co tydzień i bez względu na stan powietrza lub drogi, ciągną do miejsca swego przeznaczenia; stan drogi o tyle tylko bie-



rze się pod uwagę, o ile niezbędnem jest określić czy droga możliwą jest do przebycia, albo też absolutnie nie można maszerować po niej. Byłoby bardzo łatwo przy użyciu wozów i koni przeprowadzić zesłańców podczas lata z Tomska do Irkucka, zaoszczędzić im cierpień, które im sprawiają nieuniknienie mrozy zimowe i zamiecie. Ale z jakichś nieznanych motywów rząd aż dotąd nieubłaganie wzbrania zastosowania jakiegokolwiek środków humanitarnych. Nie można tego ani objaśnić, ani uzasadnić wysokością kosztów, gdyż koszty transportu dziesięciu tysięcy skazańców z Tomska do Irkucka wyniosłyby koźmi w rzeczywistości o wiele mniej, niż koszty transportu piechotą.

Gdy to piszę, leży przedemną urzędowe sprawozdanie pułkownika Winokurowa, inspektora transportu więźniów do Syberyi zachodniej. Wykazuje tam ten oficer, że, gdyby dostawić wszystkich skazańców z całego roku podczas lata z Moskwy i z Tomska do Aczyńska na jednokonnych podwozach, zamiast zmuszać ich do przebywania drogi piechotą — to zmniejszyłoby to koszty zesłania do ostatniej miejscowości o pięćdziesiąt tysięcy rubli.

Przestrzeń wojskowej drogi syberyjskiej, od Tomska do Aczyńska, która ma długości około trzystu kilometrów, stanowi oddzielną część marszruty, przebywanej przez zesłańców, nad którą ma nadzór pułkownik Winokurow i jego dane odnoszą się tylko do tej przestrzeni. We wspomnianem sprawozdaniu przytacza on obliczenie kosztów, zaopatrzone w uwagi, odnośnie do transportu 9417 skazańców, wysłanych piechotą z Tomska do Aczyń-

ska w r. 1884 i zaznacza przytem: „Wynika ztąd, że koszty zesłania 9417 skazańców z Tomska do Aczyńska — przypuściwszy, że pochod trwa dni dwadzieścia jeden—nie wynoszą więcej niż 130342 rb. To przedstawia 13 rb. 75 kop. na każdego idącego pieszo zesłańca, podczas gdy koszty pary koni pocztowych z Tomska do Aczyńska wynoszą normalnie tylko 11 rb. 64 kop.” Innemi słowami: wedle danych pułkownika Winokurowa byłoby korzystniej nająć dla każdego skazańca konie rozstawne pocztowe i dostawić go niemi do miejsca przeznaczenia, jak gdyby był podróżnym prywatnym albo nawet kuryerem rządowym, niżeli zwykłym sposobem „przez etapy” kazać mu wędrować przez Syberyę. Pułkownik Winokurow podaje także opatrzone uwagami kosztorys zesłania 9417 skazańców i wykazuje, że koszty te nie mogłyby przewyższać 80,817 rb. Przy zastosowaniu tej metody zesłania możnaby zaoszczędzić rocznie 49525 rubli na przestrzeni zaledwie 300 kilometrów. Wedle podobnego kosztorysu na przestrzeni między Tomskiem i kopalniami Kary byłoby do zaoszczędzenia około 350,000 rubli, przypuszczając, że wszyscy skazańcy odbędą całą tę drogę.

Zmarły pułkownik Zagarin, inspektor transportu zesłańców w Syberyi wschodniej, opowiadał mi w ciągu długiej z nim rozmowy, której przedmiotem był Krasnojarsk, że ułożył on w r. 1882, czy 1883 r., wyczerpujące sprawozdanie dla generał-gubernatora Anuczina, gdzie wyjaśnił wady obecnego systemu, przy którym zesłańcy odbywają pochod-  
rok cały, wysyłani partjami co tydzień. Propono-

wal on, aby rząd ograniczył zesłanie więźniów do miesięcy letnich i wtedy także kazał ich przewozić do miejsc przeznaczenia, zmieniając konie, wozami, codziennie wysyłając po jednym transporcie. W końcu dowiódł on general-gubernatorowi na podstawie urzędowych doniesień i obliczeń przedsiębiorców, że koszty przesyłania wozami co rok deportowanych więźniów od Aczyńska do Irkucka, na przestrzeni przeszło 800 kilometrów, w ciągu miesięcy letnich, licząc na głowę po 14 rubli, mniejby wyniosły, niż koszty za taką samą przestrzeń pochodu piechotą. Oprócz tego, sądził on, dałoby to oszczędności na czasie przynajmniej dni sześćdziesiąt, nie mówiąc już o zaoszczędzeniu istnień ludzkich, któreby można uratować przez skrócenie pobytu w więzieniach transportowych i domach etapowych, a także wskutek tego, że czas transportowania przypadłoby na porę roku, gdy panuje przyjazny stan powietrza i drogi są w lepszym stanie. Przepelnienie więzienia transportowego w Tomsku, związane z tem zło i stosunkowo wielka tam śmiertelność, zniknęłyby nagle wskutek wyjazdu codziennego zesłańców na wschód. Peryodyczne epidemie tyfusowe, które przeważnie wynikają z przepelnienia, ustalyby zupełnie. Szkodliwy wpływ życia na etapach na tych zesłanych przestępców, którzy jeszcze są nowicyuszami i na niewinne ich rodziny, znacznieby został osłabiony. W rezultacie zesłańcy przybywaliby do miejsc przeznaczenia w stosunkowo dobrym stanie zdrowia i bez utraty sił; zamiast, jak to dzisiaj bywa, gdy, wskutek trudów i umartwień pochodu zimowego na przestrzeni prze-



szło tysiąca kilometrów, ludzie padają bez życia po drodze.

— Dlaczego jednakże, na miłość Boską, nie wprowadzono tej reformy? — spytałem pułkownika Zagarina, gdy tenże skończył objaśnienie swego sprawozdania.—Gdy to jest korzystniejsze, gdy nawet więcej ludzkie, aby zesłańców wysyłać tylko podczas lata i tylko wozami, dlaczego rząd tego nie czyni? Któż miałby w tem interes, aby się sprzeciwić zaprowadzeniu reformy, która zarówno pociąga za sobą oszczędność, jak jest humanitarną?

— Niech pan zapyta o to w Petersburgu, gdy pan tam przyjedzie—odpowiedział pułkownik, wzruszając ramionami.—Wszystko, co tu możemy zdziałać, to pobudzać tylko do reform.

Przyczyna, dlaczego tych reform, niewątpliwie pożądaných, nie zaprowadzają w Rosyi, stanowi jedną z najwięcej zdumiewających i najsmutniejszych rzeczy, które zwracają na siebie uwagę podróżujących. W każdej dziedzinie zarządu natrafia się ciągle na nadużycia albo braki, które są znane od lat wielu, które szkodzą interesom ogółu, ale mimo to nie przestają istnieć. Gdy się żąda od urzędników na Syberyi wyjaśnienia tego, to wskazują oni na Petersburg. A gdy zapytać naczelnika wydziału więziennego w Petersburgu, to odpowie, że sporządził „projekt“, aby to zło usunąć, ale „projekt“ ten jeszcze nie otrzymał aprobaty ministra spraw wewnętrznych. Gdy się udajemy do ministra spraw wewnętrznych, to się dowiadujemy, że projekt wymaga wyłożenia naprzód pewnej sumy pieniędzy—choćby nawet wprowadzenie go w życie

dało w rezultacie oszczędności—a jest to niemożliwe do wykonania bez zgody i współdziałania ministerium finansów. Gdy o „projekcie” dowiadujemy się w ministerium finansów, to otrzymujemy odpowiedź, że został on odesłany za pośrednictwem ministerium spraw wewnętrznych do naczelnika zarządu więziennego dla poczynienia w nim zmian. Jeśli kto jeszcze chce dalej śledzić losy projektu i dowiedzieć się, dlaczego nic się z nim nie dzieje, to musi wywiadywać się o to przez ministerium spraw wewnętrznych, ministerium finansów, aż do rady państwa. Tutaj może dopiero odkryć, że pewni, błyszczący gwiazdami i zdobni szarfami senatorowie i generałowie, którzy o Syberyi nie wiele więcej wiedzą nad jej nazwę, wyrazili wątpliwości, co do samego istnienia zła, którem się „projekt” zajmuje, wskutek czego utworzono specjalną komisję (z pensjami aż do 20,000 rb. rocznie oprócz pieniędzy na koszty podróży) do zbadania stanu rzeczy i złożenia o tem raportu. Gdy się pójdzie w ślady tej komisji na Syberję i z powrotem i wynajdzie w aktach rady państwa ów raport, to się okaże, że dokument ten odesłany został do ministra spraw wewnętrznych, aby posłużyć za podstawę do nowego projektu. I gdy upłynie z dziesiątek lat albo i więcej, cała historia rozpoczyna się na nowo. W żadnym punkcie przejściowym tej krętaniwy nie można położyć dłoni na jakim określonym urzędniku i zawołać na niego: „Ty, oto, jesteś za to odpowiedzialny! Co na to powiesz?” Nigdzie nie można znaleźć urzędnika, któryby przeciwdziałał reformie, albo miał w ten /jaki interes/ osobisty, aby

stawiać jej przeszkody. A przecież ogólny wpływ tego procesu obiegowego jest dla reformy o wiele szkodliwszy, niż inteligentna i czynna opozycja. Rozmaite biura zarządów prowincjonalnych, ministerjów spraw wewnętrznych, finansów, sprawiedliwości, rady ministrów, rady państwa—tworzą wszystkie olbrzymi wir administracyjny nieuctwa i obojętności, w którym projekt kręci się naokoło, powoli z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, aż wreszcie znika z przed oczu, tonąc w odmęcie osobistych lub urzędowych interesów wielkiego morza życiowego.

Ta historia naturalna „projektu“ rosyjskiego nie jest obrazem, wziętym z fantazyi. Plan transportowania zesłańców wozami między Tomskiem i Irkuckiem błąkał się w splątanej sieci wodorstów morza biurokracyi rosyjskiej przez lat około trzydzieści. Projekt reformy zesłania od r. 1871 przynajmniej pół tuzina razy obiegł rozmaite zarządy, dosięgał stacyi „komisyi“ i przedstawiany był do rady państwa. Na kongresie międzynarodowym więziennym w Sztokholmie w r. 1878 pan Kokotow, zastępca naczelnika wydziału więziennego rosyjskiego, oświadczył, że jego rząd uznaje wady systemu deportacyjnego i postara się je usunąć. Było to przed trzynastu laty. Z ostatnich gazet rosyjskich dowiaduję się, że „projekt“ reformy zesłania uznała rada państwa za „niezadawalający“ i został on odesłany napowrót do naczelnika wydziału więziennego dla „poczynienia w nim zmian.“ Jednem słowem: w ciągu lat trzynastu projekt ten obiegłszy cztery instancje wrócił napowrót do punktu wyjścia.

<http://rcin.org.pl>



W lecie, podczas pierwszego naszego pobytu w Krasnojarsku, nie udało się nam widzieć tam z jakim zesłańcem politycznym, ani nawet słyszeć o takim. Ale za przewodnictwem naszych nowych towarzyszy podróży, Samarina i Petersona, odkryliśmy trzech: najprzód panią Dubrową, żonę misionarza syberyjskiego, którego badania antropologiczne nad Buryatami świeżo dopiero zwróciły na niego pewną uwagę; powtóre, młodego studenta medycyny, nazwiskiem Urusow, który z pozwolenia gubernatora Pedaszczenko był czynny jako asystent w szpitalu miejskim; po trzecie, jedną damę, przyjeżdżającą do szpitala dla wyleczenia jej z ran, jakie jej zadał pijany żołnierz. Jedyną wśród tych zesłańców, z którą zaznajomiliśmy się osobiście, była pani Dubrowa, którą w 1880 roku przed zaślubinami zesłano do Syberyi wschodniej za to, że wespół z panią Kassikową siłowała zrabować kasę rządową w Chersoniu. Według zasad tak zwanego „teroryzmu”, przyjętych przez najwięcej krańcową część rosyjskiej partii rewolucyjnej w 1878 r., niektórzy teroryści usprawiedliwiali i wprowadzali w wykonanie, między innymi środkami, praktykę fałszowania ukazów cesarskich, aby przez nie podżegać włościan do rewolucyi, dalej rabunek instytucyi i kas rządowych, aby zdobywać pieniądze dla łagodzenia cierpień zesłańców politycznych a także ułatwiania im ucieczki. Środki te ganili i potępiali wszyscy rosyjscy liberałowie i większość uświadomionych rewolucjonistów. Bronili ich jednak inni, uważając za usprawiedliwione wobec strasznych gwałtów, jakimi zwalczano terorystów, wobec nieprawnego,

podstępного i dzikiego traktowania więźniów politycznych. Między terrorystami tego rodzaju znajdowała się także pani Dubrowa, albo, jak się nazywała przed wyjściem za mąż, panna Anna Aleksiejewa.

W porozumieniu z panią Rossikową, nauczycielką z Elizawetgradu, i przy pomocy jednego zbiegłego z Syberyi przestępcy, dokonała panna Aleksiejewa zamachu na zrabowanie kasy rządowej w Chersoniu, przyczem zrobiła ona podkop tajny w nocy pod ceglana posadzką pomieszczenia, w którym chowano pieniądze rządowe. Z jakiegokolwiek strony zapatrywać się na tę sprawę, było to dla młodej damy, niedoświadczonej, w każdym razie przedsięwzięcie szalone, i, że mogło ono jednak być wprowadzone w wykonanie, dowodzi to tylko, ile zręczności, energii, cierpliwości i niezwyklej odwagi rozwijały wówczas w pewnych kołach społeczeństwa rosyjskiego warunki życia rewolucyjnego. Młode, wytworne i dobrze wychowane kobiety ze wszystkich części państwa przedsiębrały takie działania, obmyślały i wykonywały takie plany, przed którymi, ze względu na ich nieuniknione następstwa, cofnęliby się z obawą nawet najdzielniejsi mężczyźni. Podkopu pod budynek kasy rządowej dokonano, zanim został on odkryty; za pomocą usunięcia jednej z ciężkich płyt u wejścia umożliwiono dostanie się do wnętrza pomieszczenia, młode kobiety zabrały półtora miliona w gotowiźnie i ukryły pieniądze. Ale nim zdążyły ukradzione sumy zupełnie zabezpieczyć i mogły uratować się ucieczką, aresztowano je i wtrącono do więzienia wraz z ich pomocnikiem, zbiegłym skazańcem. Ten wystąpił potem

w charakterze świadka korony przeciw nim i wskazał miejsce, gdzie się znajdowały skradzione pieniądze. Dyletanckie włamywaczki skazano na zesłanie na Syberyę. Panią Rossikową jako starszą i główną winowajczynię skazano do robót ciężkich w kopalniach, a pannę Aleksiejewę — na osiedlenie i utratę pewnych praw obywatelskich. Po zaślubieniu jej przez misyonarza Dubrowa, pozwolono jej mieszkać w Krasnojarsku pod nadzorem policyi.

Na długo przed mojem przybyciem do Krasnojarska poznałem na Syberyi wszelkiego rodzaju przestępców politycznych, od skromnych, wątłych szesnastoletnich dziewcząt, pensyonarek jeszcze, aż do zatwardziałych i zawziętych terrorystów. Ale dotąd nigdy nie miałem sposobności zaznajomienia się z politycznymi włamywaczami kas rządowych i dlatego z pewnem nieukrywanem zainteresowaniem przyjąłem propozycję Samarina zaznajomienia mnie z panią Dubrową. Pułkownik Nowikow w Czycie przedstawił mi ją jako całkiem pospolitą złodziejkę, która, aby otrzymać łagodniejszy wyrok przybrała się w maskę przestępczyni politycznej. Ale ponieważ Nowikow był człowiekiem niewysokiej inteligencji i pełnym przesądów, i że prócz tego zwyczajne włamanie przedstawiać za polityczne przestępstwo byłoby to to samo, co oskarżać się, popełniwszy mniejszą zbrodnię o morderstwo, w nadziei, że się otrzyma łagodniejszą karę — nie mogłem dowierzać opinii jego.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Pułkownik Nowikow był jednym z sędziów sądu wojennego, który sądził Rossikową i Aleksiejewą i nie zdolny był zrozumieć charakteru tych kobiet.



Samarin, Peterson i ja poszukaliśmy następnej nocy po naszym przybyciu w Krasnojarsku pani Dubrowowej. Mieszkała ona w porządnym domu w celniejszej choć niewykwintnej dzielnicy miasta, oddalonej od naszego hotelu o pięćset metrów. Była to dama w wieku około lat trzydziestu, miała ciemne włosy, duże ciemne oczy, regularne rysy, jasną cerę i przyjemny, tchnący szczerością, wyraz twarzy. Przed dziesięciu laty musiała być pełną wdzięku, a nawet ładną dziewczyną; ale więzienie, zesłanie, rozczarowania i cierpienia pozostawiły niezatarte na jej obliczu ślady. Powitała nas serdecznie, wyraziła swą żywą radość z powodu spotkania podróżnika ze Stanów Zjednoczonych i żal, że mąż jej jest nieobecny, i zaczęła zaraz wypytywać mnie o położenie polityczne w Rosyi oraz dowiadywać o swych współwyznawcach politycznych, z którymi widziałem się w innych okolicach Syberyi Wschodniej. Następnie zawiązała się ogólnie podtrzymywana pogawędka, w ciągu której miałem sposobność wyrobić sobie szybko, zupełnie przecież wystarczające zdanie o jej charakterze. Zdanie to było pod każdym względem dla niej przychylnie. Każdy, kogo nie oślepiaby nienawiść i przesady polityczne musiałby przyznać, że ma przed sobą typ kobiecy, który ze zwyczajnymi wylamywaczami i złodziejami również mało miał wspólnego, jak np. Karolina Corday z pospolitym mordercą. Można ją było być może uważać za zbląkaną, fanatyczną, zapoznającą prawo i zdrowy rozsądek, ale nie można jej było zaliczać do rzędu pospolitych przestępców, nie lekceważąc cech szczególnych, które odróżniają jakiego

Johna Browna np. od zwyczajnego rabusia ulicznego.

Prawo może przedewszystkiem sądzić czyn, a nie myśl, ale jeśli charakter należy sądzić z historycznego punktu widzenia, to trzeba brać pod uwagę wszystkie motywy. Panią Dubrowową zaarrestowano po raz pierwszy — jeszcze nim miała lat osiemnaście — ponieważ udała się między lud w zamiarze, który wypływał z równie czystej i szlachetnej miłości do ludzi, jak ta, która skłaniała młode wykształcone kobiety Nowej Anglii do udania się na południe celem nauczania w szkołach murzyńskich. Od tego czasu uchodziła ona za podejrzaną politycznie, władze prześladowały ją i dręczyły i przez nieprawne traktowanie jej samej i jej przyjaciół doprowadzały do rozpacy, aż pod silnym wpływem pani Rossikowej — charakteru prawdziwego typu Johna Browna — stała się terorystką. Jak wielu innych młodych Rosyan o krwi gorącej, a z historią socyalnego i politycznego rozwoju ludzkości tylko powierzchownie obeznanych, działała ona czasem pod wpływem błędnych sądów o obowiązku albo spaczonych pojęć etycznych. Ale za to znowu leży odpowiedzialność na biurokracyi rosyjskiej. Pod pozorem ochrony charakteru moralnego młodzieży, zabezpieczenia jej od zarażenia myślą „rewolucyjną,” pozbawia się ją tej wiedzy, która jest niezbędna do wyrobienia w sobie poglądu na zadania życia, daje się jej przykład bezprawia i karze się ją za czyny społeczne, całkiem niewinne i prawne.

I gdy się ją popchnie przez bezprawia i okrucieństwo do rozpacy i zbrodni, wystawia się tych

młodych ludzi przed światem jak potwory przewrotności.

Na drugi dzień po naszym przybyciu do Krasnojarska uniknęliśmy zaledwie w domu znajomego, gdzie mieszkali Samarin i Peterson, poważnego zaniepokojenia, jakie nam sprawić mogła niespodziana rewizya. Ten znajomy był, zdaje się, podejrzany, gdyż późno wieczorem, gdy wspomniani dwaj młodzi ludzie byli w domu obecni, przyszła nagle policya, aby dom przeszukać. Dokonano tego ściśle, ale nie znaleziono nic podejrzanego, prócz dwóch z podwójnemi zamkami kufrów Samarina i Petersona. Na zapytanie co się w nich znajduje, odpowiedział gospodarz, że nie wie, gdyż stanowią one własność dwóch jego znajomych, którzy w drodze swej z Irkucka do Petersburga zatrzymali się u niego na dni kilka. Pytany dalej, gdzie obecnie ci znajomi znajdowali się, odpowiedział, że także nie wie, gdyż wychodzą oni zwykle po spożyciu posiłku i wracają do domu między jedenastą i dwunastą. Po krótkiej naradzie urzędnicy policyjni postanowili nie otwierać kufrów siłą, gdyż nie otrzymali rozkazu, aby zrewidować i bagaże gości gospodarza. Obwiązano więc i opieczętowano kufry, nie tykając ich zawartości i pozostawiono tak kufry do dnia następnego.

Gdy Samarin i Peterson wrócili około północy, zastali swe kufry opieczętowane. W jednym były liczne listy zesłańców politycznych i skazańców z Syberyi wschodniej, wysłane do przyjaciół i krewnych, w Rosyi Europejskiej, listy, w których opisywali oni, <http://nauka.gov.pl> jaki materiał zbierałem, i prosili



przyjaciół i krewnych, w Rosyi Europejskiej, by mi okazywali pomoc. Dalej była moja fotografia, jaką ofiarowałem Samarinowi z dedykacją i podpisem, która musiałaby zdradzić wobec każdego inteligentnego policyjanta moje ścisłe stosunki ze skazańcami politycznymi. Co tu było robić? Złamać pieczęć policyjną w takich warunkach, byłoby to popełnić przestępstwo karne, co pociągnęłoby za sobą prawdopodobnie uwięzienie i śledztwo. Gdyby listy te i fotografię pozostawić w kufrze—to, bezwątpienia, byłyby one nazajutrz znalezione i zaarrestowane, co mnie, oraz autorów listów i ich przyjaciół, wprowadziłoby w położenie ciężkie. W końcu postanowili obaj młodzi ludzie kufer otworzyć, nie usuwając sznurów, ani nie naruszając pieczęci. I ponieważ listy i fotografia znajdowały się od spodu, wyjęli oni część dna, mozolnie, pracując resztę nocy nad usunięciem jednej deszczółki, wydobyli listy i fotografię i przypasowali deskę napowrót, nie uszkodziwszy ani jednej pieczęci. Gdy policya przybyła rano, byli obecni, z dobrymi minami, przy rewizyi kufra. Naturalnie nie znaleziono nic niebezpiecznego.

Jeszcze jeden mały inny epizod zaniepokoił nas nieco w Krasnojarsku; było to otwarte wystąpienie przeciw nam dwóch nieznanomych, jednego wieczoru w księgarni. Czytelnik pamięta, być może, jeszcze tajemnicze strzały pistoletowe, które dano w Czycie do ściany naszego pokoju wśród późnej nocy. Okoliczność ta dała mi wtedy powód do przypuszczenia, że liczone zapewne na to, iż uda się wplątać nas w jakieś zajście, w którym policya zna-

lazłaby sposobność zaaresztowania nas i zatrzymania chwilowo w więzieniu, i zrewidowania naszych rzeczy. Ale zachowałem ostrożność ze względu na posiadane dokumenty.

Innym razem powstrzymałem się znowu od wdania się w inną awanturę.

Gdym przebywał właśnie u jednego skazańca politycznego dał się słyszeć w drugiej połowie domu przejmujący krzyk kobiety, którą musiano okrutnie katować; byłem przekonany, że krzyk ten ściągnie wkrótce policyę, która, znalazwszy mnie na miejscu, nie zaniedbałaby wplątać mnie w tę sprawę. Nie ująłem się też za krzywdzoną kobietą, jakkolwiek ciężko mi było słuchać jej krzyku przeraźliwego.

Wspomniany epizod w Krasnojarsku był następujący: Frost i ja udaliśmy się wieczorem do księgarni w Krasnojarsku, aby kupić tam kilka map, materiałów do pisania, notesów i t. p. rzeczy. Do sklepu weszło za nami dwóch ludzi, ubranych w odzież cywilną, których nigdy przedtem nie widziałem i z początku prawie nie zwracałem na nich uwagi. Ale wkrótce spostrzegłem, że jeden z nich trzyma się blisko mnie, a drugi Frosta i że obaj czynią to samo, co i my robimy, w obraźliwy sposób przedrzeźniając nas i karykaturując. Nie byli oni pijani, nie zwracali się też do nas z uwagami, albo właściwiej rzekłszy, nie mówili wogóle nic, nadto, w czem nam podrzeźniali. Zażądałem mapy prochwincyi jenisejskiej, zażądał jej także człowiek, stojący przy mnie, powtarzając me słowa i gesty; poszedłem do innej części sklepu i zażądałem papieru do

pisania, tamten zrobił to samo. Zamiar obrażenia był tak wyraźny i sposób tak niezwyčajny i uplanowany, że zaraz się domyślił pułapki policyjnej. Dwóch, będących przy zdrowych zmysłach i trzeźwych obywateli nie będzie szło do sklepu za dwoma obcymi ludźmi i zachowywało się w taki sposób względem nich, bez powziętego z góry celu. To np. mogło prowadzić do sprowokowania pojedynku; a że nie mogłem w mem położeniu myśleć o tem, nie pozostawało mi nic innego, jak zakończyć jaknajprędzej zakupy i księgarnię opuścić. Nieznajomi poszli za nami dalej ulicą, nie przemawiając do nas i wkrótce straciliśmy ich z oczu w ciemnościach. Gdy na drugi dzień zapytał o nich księgarza, odpowiedział, że ich wcale nie zna. Musieliśmy unikać zejść wszelkich ze względu na materyały, wiezione z sobą, ale tak mnie to zdenerwowało, że długo po przebyciu już granicy europejskiej ze zdenerwowaniem i podejrzliwością zachowywałem się względem wszystkiego, co mi się wydawało niezwyčajnem i w nocy sypiałem nieszczególnie.

We środę, 20 stycznia po dłuższym pobycie w Krasnojarsku, gdzie spędzaliśmy czas pożytecznie i wypoczęliśmy dobrze po trudach podróży z Irkucka, ruszyliśmy w dalszą drogę do miasta Minusińska, które leży na północnym stoku gór Altajskich w bliskości granicy Mongolii, w okolicy, którą nazwaliśmy pół seryo i pół żartem „Włochami Syberyjskimi”.

Odległość Krasnojarska od Minusińska wynosi około 225 kilometrów. Za drogę komunikacyi między obu miastami służy w zimie powłoka lodowa



szerokiej rzeki Jenisieja. Nie ma regularnej komunikacji pocztowej, ale zamożniejsi i więcej przedsiębiorczy włościanie przewożą zazwyczaj podróżnych za opłatą zwyczajną, wedle taksy pocztowej, i wymaga to nie większej straty czasu, jak i na wielkim trakcie wojskowym syberyjskim. Gdyśmy opuszczali Krasnojarsk było zimno i wietrzno, zamieć śnieżna była tak gwałtowna na lodzie, że za drugą stacją musieliśmy zaprządz trójkę koni jeden za drugim, a jednego konia z lekkimi saneczkami wyprawić naprzód, by nam drogę torował. Ponieważ droga była równa zupełnie i ruch powozki równomierny, gdy więc noc nadeszła, zakopaliśmy się w głębi futrzanego worka i próbowali spać, powierzając się całkiem opiece woźnicy. Wszystko, co sobie przypominam z tej jazdy nocnej, to była chwila, gdyśmy się wszyscy trzej z woźnicą ocknęli około godziny 4-tej, zeszli z sań i udali do chaty włościańskiej, ażeby poczekać na zmianę koni. Gdyśmy się zbliżali już ku południowi — brzegi rzeki stawały się coraz wyższe i w końcu przybrały dziki charakter górski ze wspaniałymi stokami gór i wznoszącymi się jeden nad drugim tarasami ze skał i głazów. W piątek, gdyśmy minęli siódmą stację od Krasnojarka, zjechaliśmy na czas jakiś z rzeki i jechaliśmy przez nagę, bez śladów roślinności, nie pokrytą śniegiem dolinę, podobną jakby do wielkiego cmentarza. W jednym kierunku ciągnęły się po niej szeregi niby licznych kamieni nadgrobnych. Nie przesadzę, jeśli powiem, że ich było wiele tysięcy. W ciągu całego dnia tworzyły one charakterystyczną właściwość krajob-

razu. Zapewne są to ślady pokoleń ludzkich zamierchłej przeszłości, gdyż istnieją zupełnie pewne dane, że porzecze Jenisieja zamieszkiwał ongi lud liczny i kwitnący.

W sobotę, 23 stycznia, przed świtem dosięgliśmy naszego tymczasowego celu, miasta Minusińska i znaleźliśmy tam schronienie w dwupiętowym baraku, w którym przez długie lata zamieszkiwał jeden z najwybitniejszych [zesłańców politycznych, ksiązę Aleksander Krapotkin.

---

## Ostatnie dni mego pobytu na Syberyi.

Minusińsk, gdzie zatrzymywaliśmy się po raz ostatni dłużej w drodze ze Syberyi, jest kwitnącem miasteczkiem, mającem od pięciu do sześciu tysięcy mieszkańców. Leży on w urodzajnej dolinie nad górnym Jenisejem w odległości około 3500 kilometrów od Petersburga i około 1000 kilometrów od granicy Mongolii. Leży on prawie pod tym samym stopniem szerokości półn. co Liwerpool, a długości co Kalkuta. Od Petersburga dzieli go około dwudziestu dni drogi. Ponieważ oddalony jest od głównego traktu przez Syberję, rzadko wstępują tam obcy podróżni i w czasie naszego pobytu mało był znany nawet mieszkańcom Rosyi Europejskiej. Dla nas jednak posiadał szczególny interes, po części dlatego, że znajduje się w niem największe i najważniejsze muzeum syberyjskie, a po części, że służył on za pobyt pewnej liczbie najwybitniejszych rosyjskich literatów i rewolucjonistów.

Przyjechalśmy do tego miasteczka około 6



godziny rano. Prawie wszystko jeszcze spało. Trudno było o tej godzinie szukać osób, do których mieliśmy listy polecające, aby ich prosić o przytułek, gdyż o istnieniu jakiego hotelu nie mogliśmy się na razie dowiedzieć. Po długich wreszcie poszukiwaniach znaleźliśmy dom drewniany, w którym, wedle oświadczenia naszego woźnicy, miał się kiedyś znajdować hotel, ale, jak się okazało, był to dom prywatny; dowiedzieliśmy się wreszcie, że w innej części miasta są „pokoje dla podróżnych“ i dostaliśmy ostatecznie dość duży, jasny i czysty pokój, gdzie, śmiertelnie znużeni, rzuciliśmy się w ubraniu wprost na podłogę i przespali snem twardym do dziewiątej.

Na krótko przed południem, zmieniawszy suknie i doprowadziwszy swój wygląd jako tako do porządku, wyszliśmy, by obejrzeć miasto i oddać parę wizyt, a wreszcie odszukać muzeum.

Z muzeum tego dumni są wszyscy wykształceni Sybiracy. Stworzyły je, co jest doskonałą ilustracją stosunków, niezmordowana praca i poświęcenie jednostki, pana Martjanowa, który całe swe życie poświęcił tej instytucji i zbieraniu okazów.

Gdy przybył na Syberję w 1874 r. nie było podobnego muzeum nigdzie tutaj, jeśli nie liczyć ledwie wegetującego muzeum górniczego w Barnaule. Będąc właścicielem małego magazynu materiałów aptecznych, zajął się on, jako specjalista, przyrodnik, posiadający dyplom z ukończenia uniwersytetu kazańskiego, zbieraniem kolekcji roślin i minerałów w okolicy Minusińska. Rozklasyfikował te

kolekcyę, opisał i rozesłał kilkanaście takich zbiorów na wzór nauczycielom szkół w okręgu [minusińskim, prosząc, aby zachęcali uczniów do tworzenia podobnych kolekcyi i przesyłania do muzeum. Wywarło to swój skutek. Prócz tego Martjanow porozsyłał do muzeów przyrodniczych stowarzyszeń naukowych i profesorów prośby o nadsyłanie mu, często zbytecznych, duplikatów okazów. W ten i inny sposób sam jeden Martjanow zdołał, dzięki niezamordowanej działalności, zebrać w ciągu lat dwóch około 1500 przedmiotów, głównie z dziedziny przyrodnictwa.

Pomału uzyskał poparcie władz miejscowych i obudził zainteresowanie do swego dzieła wśród inteligentniejszej ludności prowincyi minusińskiej i sąsiednich.

Sądząc z powierzchownego przeglądu, muzeum godne było szczególnej uwagi, Frostowi podobały się najwięcej działy archeologiczny i etnograficzny. Podczas naszego pobytu zbiory mieściły się w gmachu rady miejskiej, katalog ich zawierał 23,859 numerów, a biblioteka obejmowała około 10,000 tomów. Wszystko to było rezultatem usiłowań jednostki. Muzeum wkrótce zyskało sobie poparcie syberyjskich bogaczy, Sibirjakowa, Kuzniecowa i innych, a po moim powrocie z Syberyi pomieszczono je już we własnym obszernym gmachu oraz wydano wspaniałe katalog przedmiotów.

Zwiedzanie muzeum i wycieczka do utoru szczepu tatarskiego na „step Kaszyński“ nie przeszkodziły nam do zaznajomienia się z życiem ze-

ślańców politycznych w Minusińsku, co było przecie głównym celem naszego tu przyjazdu.

Ale położenie pod tym względem pogorszyło się właśnie, z powodu bowiem ucieczki zesłańca politycznego Masłowa, pilnowano innych czujniej niż zazwyczaj.

Prokurator miejscowy, Skriunikow i pułkownik żandarmeryi z Krasnojarska szczególną ich otaczali opieką. W takich okolicznościach uważałem za potrzebne, postępować z wielką ostrożnością i znajomości z zesłańcami zawiązywać tylko wtedy, gdy to mogło uchodzić za czysto przypadkowe zdarzenie. Wkrótce dowiedziałem się od pana Martjanowa, że wielu zesłańców interesuje żywo muzeum, że pomagają oni do zbierania i porządkowania przedmiotów i nawiedzają często muzeum i bibliotekę.

Szczęśliwym trafem byłem członkiem American Geographical Society w Nowym Jorku i Anthropological Society w Waszyngtonie, aby rozporządzać pewną sumą wiedzy przyrodoznawczej i w rozmowach na ten temat z profesorami lub policją doskonale upozorować zainteresowanie się muzeum. Umiałem przedstawić się za tak gorliwie oddającego się studjom archeologicznym i geologicznym, że Martjanow napelniał nasz pokój okazami archeologii i geologii i sprowadził do mnie ze sobą dzielnego geologa i archeologa, zesłańca politycznego Dymitra Clements'a, do którego właśnie miałem okólny list polecający od zesłańców politycznych z innej części Syberyi.

Był to człowiek, którego biografję można zna-



leżć w książce Stepniaka „Rosya podziemna.” W wieku lat około czterdziestu, z twarzą typu raczej azyatyckiego, niż europejskiego, z wysokiem wydatnem czołem, ciemnymi oczami, żółtawą cerą, nieco przyplaszczonym nosem, wydatnymi kośćmi policzkowemi, obfitym ciemnym zarostem, wyglądał na potomka jakiego szczepu południowo syberyjskiego. W wyrazie jednak oczu i twarzy była zaduma uczonego europejskiego i myśliciela.

Gdym pokazał mu mój list polecający, wyjęty z pasa skórzanego, jaki nosiłem pod koszulą i w którym chowałem niebezpieczne dokumenty, Clements odczytał pismo, zapalił zapalną i potrzymawszy w ręku list dopóki się nie obrócił w popiół, rzekł:

— To najbezpieczniejsze, co z takimi listami czynić należy.

Po półgodzinnej rozmowie, Martjanow zaprosił nas wszystkich na herbatę do siebie, gdzie też w towarzystwie gospodarza i jego żony spędziliśmy resztę wieczoru.

Nazajutrz rano mieliśmy pierwsze starcie z policją w Minusińsku. Zanim wstaliśmy, wszedł do nas oficer w mundurze, nie oddawszy wprzód karty, ani nie kazawszy się zameldować, i zażądał, w bardzo szorstkim tonie, naszych paszportów. Odpowiedziałem, że paszporty odesłaliśmy w dniu naszego przyjazdu do policyi i tam się dotąd znajdują.

— Gdyby tam były, toby o tem wiedział nadziretel (inspektor)—zauważył zuchwale.

— Jego rzecz o tem wiedzieć — odparłem. — Nie powinien on nikogo przysyłać, aby nam prze-

szkadzał zanim nie wstaniemy. Dość długo jesteśmy już w państwie, aby o tem wiedzieć, co mamy robić z naszymi paszportami i porywamy je zaraz do policyi, gdzie gdy tylko się zatrzymujemy.

Mój wyzywający i podrażniony ton mowy musiał urzędnika przekonać, że zę strony władzy zachodzi tu jakaś omyłka, czy nieporozumienie, gdyż oddalił się, nieco pomieszany.

Po upływie jednak zaledwie dziesięciu minut—wciąż jeszcze leżałem na zwykłym mem łóżku, na podłodze—ukazał się sam inspektor policyi, człowiek z podejrliwym wyrazem ospowatej twarzy, z zielonkawemi, przymrużonemi oczami, którego bez mundura możnaby wziąć za niebezpiecznego przestępcę.

Zauważył on, że naszych paszportów nie ma w policyi, ani ich tam nie było i że musi je mieć natychmiast. Zresztą, zaznaczył, ma on polecenie od isprawnika, aby się dowiedział „co my za ludzie,“ zkad przyjechaliśmy i co tu mamy do robienia. „Odwiedzaliście tu ludzi—mówił—a isprawnik nawet nie oglądał was na oczy”.

— Czyjaż to wina, że nas nie oglądał?—spytałem gwałtownie.—Oddałem mu dwa razy wizytę, nie zastałem go w domu i dlatego pozostawiłem kartę. Jeśli się chce dowiedzieć, co my za ludzie, to dlaczego nie odpowiada w grzeczny sposób na moją wizytę w odpowiednim czasie, zamiast przyjechać nam wczesnym rankiem policyanta, który nas budzi i zadaje nam niegrzeczne pytania.

Następnie wręczyłem mu pismo polecające ministra spraw wewnętrznych i ministra spraw za-

granicznych. Przejrzał szybko i rzekł zupełnie innym tonem:

— Pozwoli pan, że te papiery wezmę ze sobą, aby je pokazać isprawnikowi.

— Zapewne—odpowiedziałem—ma pan do tego prawo.

Skłonił się i wyszedł, a ja udałem się do gospodarza, aby się dowiedzieć, co się stało z naszymi paszportami. Okazało się, że były one przedstawione w policyi, ale sekretarz z głupoty, czy też dla dokuczenia, nie chciał ich przyjąć, więc gospodarz schował je u siebie do szafy.

Po upływie pół godziny wrócił inspektor policyi i wręczył mi napowrót papiery bez słowa, oddałem mu paszporty, objaśniając co się z nimi stało. Rozstaliśmy się, czując wzajemnie do siebie niechęć i niedowierzanie, które wkrótce zwiększyły się jeszcze przy ponownem spotkaniu.

Przy pomocy Martjanowa i Clementsa zaznajomiliśmy się w ciągu następnych dwóch albo trzech dni ze wszystkimi zesłańcami politycznymi, znajdującymi się w tej miejscowości. Było między nimi kilku nader interesujących i pociągających ku sobie ludzi.

Między tymi, do których najwięcej się zbliżyłem, znajdował się Piotr ziemski, Iwan Pisarew, z prowincyi Jarosławskiej, dr. Martinow, lekarz ze Stawropola, Jan Pietrowicz Bielokonski, młody literat i dziennikarz z Kijowa, Leonidas Zebunow, były student uniwersytetu z Kijowa, panna Zenejda Zacaginowa i Dymitr Clements. Panie Martinowa i Pisarewowa mieszkaly przy swych mężach na ze-



slaniu; obie mówiły po angielsku i w ich gościnych domach byliśmy przyjmowani uprzejmie, ileśmy razy ich odwiedzali.

Dr. Martinow był bogatym, wykształconym obywatelem ziemskim na Kaukazie. Gdy został zesłany, majątek jego otrzymał pod zarząd wyznaczony przez ministra spraw wewnętrznych rządu, a samemu Martinowowi wydawano na życie tylko sto rubli miesięcznie. Nie był on nigdy pod śledztwem, nie pozbawiano go nigdy na drodze sądowej praw obywatelskich; a jednak odjęto mu majątek i w drodze administracyjnej i zesłano z żoną i dzieckiem do tej oddalonej miejscowości Syberyi wschodniej.

Początkowo zabroniono mu nawet oddawać się swemu powołaniu, w końcu wreszcie otrzymał on od ministra spraw wewnętrznych pozwolenie na to. Na krótko przed naszym przybyciem przyszedł do niego późno w nocy człowiek, ze wsi w lesie, błagając o pomoc chirurgiczną dla włościanina któremu niedźwiedź niebezpiecznie nadwreżył kości. Innego lekarza chirurga nie było w tej miejscowości. Wśród nocy nie można było prosić policyi o pozwolenie na opuszczenie chwilowe obrębu miasta, dr. Martinow więc zdecydował się pośpieszyć z pomocą niebezpiecznie ranionemu i powrócił wczesnym rankiem do domu.

Dowiedziano się już o jego krótkiej nieobecności. Isprawnik Znamienski, tępy i brutalny człowiek, zaraportował gubernatorowi, generałowi Pedaszenko, że polityczny zesłaniec Martinow opuścił miasto bez pozwolenia, i zażądał instrukcyi.

Gubernator rozkazał zaaresztować i wtrącić do więzienia winowajcę. Nie pomógł list Martinowa do gubernatora, wyjaśniający cały wypadek. Gubernator nie zaszczylił go nawet odpowiedzią, przesłał tylko list ten isprawnikowi z adnotacją, że zesłaniec powinien uleść karze. Podczas naszego pobytu „przestępca” ten czekał właśnie na wezwanie do osądzenia jego sprawy. Po moim powrocie do Stanów Zjednoczonych dowiedziałem się, że go skazano na 5 lat dodatkowego zesłania. Gdy się zbliża termin ukończenia kary, władze obowiązane są przedstawiać raport o prowadzeniu się skazańca, i jeśli raport jest nieprzychylny, to zesłańcowi dodają jeszcze 5 lat do terminu zesłania. Zapewne i d-ra Martinowa przedstawiono za takiego krnąbrnego zesłańca.

Jednego dnia, w tydzień mniej więcej po naszym przyjeździe do Minusińska, siedziałem właśnie w mieszkaniu Pisarowa, gdy wszedł dr. Martinow. Zaledwie go można było poznać na pierwsze wejście, tak był zmieniony i wzburzony.

— Co się stało?—zawołała pani Pisarow.

— Isprawnik kazał Maryi (jego żonie), przyjść do urzędu policyjnego.

W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, co go tak mogło poruszyć! Ale kilka słów wyjaśnienia pozwoliły mi zrozumieć całą sprawę. Pani Martinow była właśnie bliską rozwiązania, gdy wypadł dzień, w którym zesłańcy muszą obowiązkowo stawiać się w policyi i meldować się, co ma zapobiegać ucieczce. Obowiązek ten muszą spełniać co kilka dni, albo co tydzień. O stanie swej żony

i o tem, że nie może opuszczać mieszkania uprzedzał Martinow isprawnika, i prosił o względność dla żony, ale nieludzki urzędnik odpowiedział brutalnie, gdy zaś tegoż dnia isprawnik, przechodząc przypadkowo, ujrzał panią Martinową, siedzącą przez krótką chwilę przed domem z porady męża dla orzeźwienia się, posłał zaraz po nią policyanta z rozkazem udania się do policyi i z ostrzeżeniem, że w razie nie usłuchania tego rozkazu, zostanie do tego zmuszona „z całą surowością prawa“, które, niestety, nawet dla kobiet w poważnym stanie, blizkich rozwiązania, nie robi wyjątku przy stosowaniu przepisów często uciążliwych, a nie posiadających prawie praktycznego znaczenia.

Dwa tygodnie, spędzone w Minusińsku, obfitowały we wrażenia. Isprawnik był mi otwarcie nieprzyjazny, — mimo listów polecających, i wcale mnie nie rewizytował. Zielonooki inspektor policyi, zastał mnie raz niespodzianie w domu zesłańca politycznego Pisarowa, o czem bezwątpienia zdał raport swej władzy. Ale udało mi się wejść w uprzejme stosunki z pułkownikiem żandarmeryi i prokuratorem z Krasnojarska. Opowiedziałem im o mych spotkaniach z zesłańcami politycznymi, naturalnie, w interesie jakoby studyów nad archeologią i antropologią, — i o wszystkim, com robił w Minusińsku. Mówiłem to dlatego jakoby, że mi sprawiało przyjemność podzielić się z nimi temi wrażeniami i zamienić zdania. Jaki o tej rozmowie wysłali do Petersburga raport, nie jest mi wiadomem, ale rezultatu złego za sobą nie pociągnął. Nie zrewidowano nas, ani nie aresztowano.



Z porady kilku przyjaciół, dokumenty niebezpieczne, listy, notatki i wszystko, co by nas mogło skompromitować, wysłałem z Minusińska pod adresem jednego z mych przyjaciół do Petersbuga w specjalnie zrobionej przez pewnego stolarza zesłańca Polaka skrzyni, gdzie były urządzone trudne do spostrzeżenia skrytki i schowki na najniebezpieczniejsze dokumenty. Wahałem się, czy taki materiał powierzyć departamentowi pocztowemu rosyjskiemu, ale skrzynia, choć ważyła około dwudziestu kilogramów, wobec ciężkich i różnorodnych przesyłek, które przewozi poczta rosyjska, nie uderzała żadną niewyczajnością, a urzędnicy pocztowi w Minusińsku, jak mnie zapewnili zesłańcy, byli ludźmi honoru i nie donieśliby o tym transporcie policyi, choćby się domyślali, że jego zawartość nie jest zbyt niewinna, zresztą wpadnięcie w ręce policyi tej przesyłki i otwarcie skrzyni, choćby w samym Petersburgu mniej było kompromitującym i narażającym na niebezpieczeństwo, niż znalezienie owych papierów podczas rewizyi przy mnie.

Pod pewnym względem żalowaliśmy, że musimy opuścić Minusińsk, więcej, niż jakiej innej miejscowości, o które w drodze powrotnej do domu, musieliśmy się otrzeć.

Ale między nami i Petersburgiem było jeszcze przeszło trzy tysiące kilometrów i musieliśmy się śpieszyć, aby dopokąd trwała sanna dojechać do Rosyi Europejskiej przed nastąpieniem roztopów. We czwartek 4 lutego pożegnaliśmy się z zesłańcami politycznymi, Martinowem i innymi znajomymi i pojechaliśmy trójką koni wynajętych, do odle-

głego o pięćset kilometrów miasta Tomska. Zamiast jechać Jenisiejem do Krasnojarska, postanowiliśmy, dla skrócenia drogi, niedaleko od Minusińska opuścić koryto rzeki i przecinając stepy wprost się skierować ku Tomskowi, mając wciąż po prawej ręce wielki trakt wojskowy syberyjski. Do późnego wieczoru nie wydarzyło się nam nic godnego wspomnienia. Gdyśmy jednak skręcili od rzeki i podjeżdżali do jakiejś wioski, ukazanie się nagle dziko wyglądającej postaci, ubranej w długie, obdarte futro owcze wystraszyło konie. Człowiek ten wyskoczył z za skały, wydał jakiś ostry, niewyraźny okrzyk ostrzegawczy, machając wiązką płonącej kory brzozonej i słomy.

— Co to jest? — zapytałem naszego woźnicy, gdy nasze konie stanęły dęba.

— Strażnik od zarazy, odpowiedział. Woła on, że musimy być okadzeni.

W dolinie górnego Jenisaju panowała kiedyś zaraza wśród bydła, włościanie tej wsi wystawili naokoło kordon, spodziewając się tym sposobem ostrzedz od zarazy swe bydło. Słyszeli oni coś o pożytku okadzania i poddają temu procesowi każdy zaprząg, który przekracza granice wsi. Strażnik od zarazy spalił tedy wiązkę słomy, kory brzozonej i innych materiałów palnych i dym wydających, okadzając nas naokoło i pod powózką, przy czem omal się nie zadusiliśmy, a konie nie mogły ustać ze strachu, potem powiedział nam z całą powagą, że jesteśmy „oczyszczeni“ i możemy jechać dalej.

W dalszej drodze spotkała nas śnieżna burz

północna, ale podróż zimowa od granic Syberyi wschodniej do Petersburga, była już tyle razy opisywana przez podróżników angielskich i amerykańskich, że wydaje mi się zbytecznym powtarzać te skargi, trudy i drobne przygody. Przyjechaliśmy do Tomsku przy temperaturze trzydziestu stopni niżej zera, na piąty dzień po wyjeździe naszym z Minusińska. Odnowiliśmy tu nasze znajomości, opowiedzieli nasze przygody, i pojechali dalej. W dniu 22 lutego—dzień urodzin Waszyngtona—pojechaliśmy do Omska, gdzie odpoczęliśmy przez jeden dzień i wjechaliśmy wreszcie na tak zwaną „drogę kupiecką“, wiodącą do Tobolska. Znowu w okolicach Omska sprawił nam niespodziankę widok wielbłądów. Że się tu znajdują w lecie wielbłądy, o tem już naturalnie przekonaliśmy się, ale nie myśleliśmy nigdy, że pozostają tu one i na zimę, byliśmy też nie mało zdziwieni, gdyśmy ujrzeli w blasku księżyca wśród mroźnej nocy, trzy czy cztery wielbłądy, ciągnące sanie kirgizkie.

Za Omskiem spotkaliśmy olbrzymie sanie frachtowe, których konstrukcyja wydała nam się nową. Zaprzężone one były w sześć albo pięć koni i naładowane towarami, przeznaczonemi na jarmark do Irbitu. Niektóre były tak wysokie, jak chałupa wiejska i na wierzchu ich leżało pudło, w którym mieścili się, woźnica i kramarz ze swoim pisarzem. Wielki jarmark roczny w Irbicie w Syberyi zachodniej ustępuje pod względem znaczenia słynnemu jarmarkowi w Niżnim-Nowgorodzie; przyjeżdżają nań kupecy i kramarze z najdalszych okolic Azji północnej. Sanie frachtowe, które ku końcowi zimy nader



licznie przechodzą przez drogę, psują ją i czynią ledwie możliwą do przebycia, to też całkiem rozbitci przyjechaliśmy w dniu 28 lutego do Tobolska, a Frost zasnął w nocy i gorączkował.

W ciągu dnia następnego zwiedziłem całkiem zbytecznie pod przewodnictwem naczelnika policyi jeszcze dwa więzienia, nie przedstawiające nic godnego uwagi. Odwiedziłem także dzwonnice, gdzie wisi pierwszy zesłaniec syberyjski: słynny dzwon z Uglicza, który z rozkazu cesarza Borysa Godunowa, zesłany w 1593 r. na Syberję za to, że dał sygnał do buntu po zamordowaniu następcy tronu Dymitra.

Wygnany dzwon uwolnił nowy wyrok z pod zarzutu przestępstwa, otrzymał on poświęcenie kościelne i wzywa teraz prawowiernych Tobolska na modły. Mieszkańcy Uglicza wystąpili świeżo z prośbą, aby im dzwon zwrócono z adnotacją na nim, że dzwon za swą „nieprawomyślność polityczną“ dostatecznie został ukarany trzechsetletniem zesłaniem, i być może, otrzyma on pozwolenie na powrót do stron rodzinnych.

Popołudniu zwiedziłem jeszcze mały pagórek na wschód od miasta, gdzie stoi pomnik, wzniesiony na cześć Jermaka, zdobywcy Syberyi. Potem zwróciłem do hotelu, zapłaciłem rachunek i pojechałem do Tiumentia, dokąd przybyliśmy następnego dnia.

Tydzień pobytu w Tiumentiu, dobre wyspanie się i miłe towarzystwo osób, mówiących po angielsku, przywróciły Frostowi zupełnie siły, tak, iż 9 marca mogliśmy <http://dml.org.pl> ijechać kolejną do Petersburgowi.

Jak nam było przyjemnie znaleźć się w wygodnym wagonie kolejowym, może tylko ten pojąć, kto przejechał drogami syberyjskimi tysiące kilometrów w ekwipażach bez resorów.

Do stolicy rosyjskiej przybyliśmy 19 marca. Jak tylko zniesiono nasze bagaże do hotelu, wziąłem dorożkę i pojechałem do mego przyjaciela, do którego wysłałem skrzynię, z cennymi dokumentami.

Z bijącym silnie sercem zadzwoniłem i wręczyłem służącemu mą kartkę, zanim się ukazał mój przyjaciel miotало mną gorączkowe wzruszenie i obawa. Gdyby skrzynię otworzyli urzędnicy pocztowi lub policya i zaaresztowano jej zawartość — co by mi pozostało po pracy i trudach całego roku? Jak wiele by mi jeszcze zostało w pamięci z tego, com widział i słyszał? Co były warte szkice bez nazwisk, dat i tych wszystkich dokładnych szczegółów, które dopiero nadają opowiadaniu piętno wiarygodności?

Gdy się ukazał mój przyjaciel, zdawało mi się, że spokojny i nie mówiący wyraz jego twarzy wskazuje jakby, że nic o żadnej skrzyni nie wie. Pełen dręczącej niepewności, zamiast powitania, zwykłego zapytania o stan zdrowia, zawołałem: „czy otrzymał pan moją skrzynię?”

— Skrzynię? — odparł pytająco. Serce we mnie zamarło.

— Tak,—zawołał nagle i z oczu strzelił błysk porozumienia.

— Wielką skrzynię, obitą płótnem. Tak, jest tutaj!

Próżno by mi mówiono, że w tej chwili w po-  
nurej pogodzie marcowej Petersburga nie zaszła ża-  
dna zmiana stanowcza, gdyż byłem przekonany, że  
nagle przez okna mieszkania mego przyjaciela za-  
świeciły cztery ogromne, astronomom nieznane, słoń-  
ca, a cały Newski Prospekt rozbrzmiał świegotaniem  
ptactwa.

Wysłałem cenne dokumenty przez unyślnego  
posłańca za granicę, aby uniknąć niebezpieczeństwa  
możliwej rewizyi mych rzeczy na granicy i w czte-  
ry dni później stanęliśmy, ja i Frost, w Londynie.

---



## D O D A T E K.

### „Czernidło”.

Mało osób mieszkających po za obrębem Rosyi, może mieć pojęcie o tem „jakim skrępowaniem wyrażenia każdej godniejszej uwagi myśli, wypowiedzenia każdego wolnego słowa w prasie w tem ogromnem państwie jest cenzura rządowa. Niektórzy Amerykanie wiedzą może, że cenzura taka istnieje, że jest ona przeszkodą w rozwoju duchowej działalności wogóle, w szczególności zaś rozwoju politycznym i rewolucyjnym. Niewielu z nich jednak miało sposobność poznania lub widzenia całej potęgi zła, której ona jest przyczyną. Cenzura rosyjska działa nie tylko jak kaganiec, nakładany na usta tym, którzy chcą sprawy publiczne roztrząsać, lecz i jako przepaska na oczach ludu rosyjskiego, mająca na celu ukrycie przed nim samym rzeczywistego jego położenia. Nie przesadzam, twierdząc, że Anglik,

mieszkający w Londynie i czytający uważnie telegramy i korespondencye z Rosyi w „News” „Times’ie” i „Standard’zie” ma dokładniejszy i jaśniejszy pogląd na stan rzeczy w tem państwie, aniżeli obywatel petersburski, wertujący wszystkie gazety, wychodzące w całej Rosyi. Przyczyny tego szczególnego i osobliwego zjawiska znajdują się w grubym tomie, wydanym przez rosyjskie ministryum spraw wewnętrznych i znanym p. t. „Prawa prasowe.” Prawa te tamują nietylko roztrząsanie kwestyi publicznych, ale nawet wzmiankowanie o nich: Przykładem tego niechaj posłużą fakty z mego własnego doświadczenia.

W czerwcu 1886 urządzono w starym grodzie tatarskim, Kazaniu, rodzaj wiecu obywateli rosyjskich; liberałowie dali mu nazwę żartobliwą „parlamentu epidemicznego”. Zebranie składało się z delegowanych ziemstw wszystkich nad Wołgą leżących prowincyi, a zwolane zostało w celu omówienia kwestyi pomoru bydła i przedsięwzięcia środków dla zaradzenia temu nieszczęściu.

W dniu otwarcia owego parlamentu znajdowałem się przypadkowo w Kazaniu i siedząc u siebie w pokoju, gawędziłem z redaktorem tamtejszej gazety i z profesorem uniwersytetu kazańskiego.

— Zdaje mi się,—mówił redaktor,—że powinienem teraz być w redakcyi i napisać artykuł, zwracający uwagę, że skoro delegowani ze wszystkich ziemstw, leżących nad Wołgą, tu się zebrali w celu omówienia kwestyi pomoru na bydło, to przedstawia się najlepsza sposobność do zapoznania innych

kwestyi, mających doniosłe znaczenie dla tych prowincyi.

— A wie pan co by potem nastąpiło?—spytał profesor.

— No co?—rzekł, śmiejąc się redaktor.

— To, że gazeta pana razem z całym „parlamentem epidemicznym” przestałaby istnieć przed upływem 24-ch godzin.

— Nie chce pan wszak przez to powiedzieć, że gazeta nie ma prawa zrobienia podobnej propozycyi w najlepszych zamiarach?—zauważyłem.

— Nieinaczej,—odrzekł profesor.—Dowiedziałem się przypadkowo, że gubernator otrzymał od ministra spraw wewnętrznych najściślejszy rozkaz, niedopuszczenia w „parlamencie“ do żadnych przemówień, przekraczających granice wyżej pomienionej kwestyi. Oprócz tego minister życzy sobie otrzymywać codziennie jak najbardziej szczegółowe sprawozdania telegraficzne z przebiegu obrad. Pan A. (redaktor) mógłby swój artykuł zredagować jak najdelikatniej i ubrać go w formę jak najostrożniejszą, zapewniam pana, że cenzor by go pomimo to wykreślił.

— A jednak ja to napiszę,—odrzekł redaktor, i zwróciwszy się do mnie ciągnął dalej:—Jeżeli pan zechee między jedenastą a dwunastą w nocy przyjść do redakcyi, dowie się pan o rezultacie.

O godzinie oznaczonej udałem się do redakcyi dziennika, siadłem koło biurka pana A. i czekałem na przyniesienie arkusza, posłanego do cenzury. Około północy w sąsiednim pokoju rozległ się dzwonek i do gabinetu redaktora wpadł jakiś chłopiec



z okrzykiem „c-e-n-z-u-r-a“! i rzucił na stół paczkę korekt. Pan A. przejrzał je szybko i podał mi, milcząc, arkusz z wydrukowanym artykułem p. t. „Zebra-  
 nianie delegatów ziemstw z prowincyi nadwołżań-  
 skich“. Sądząc nawet z punktu widzenia najbar-  
 dziej ograniczonych i konserwatywnych biurokratów,  
 artykuł ten wydał mi się zupełnie niewinnym. W kil-  
 ka ostatnich wierszach jedynie, pan A. proponował  
 w słowach łagodnych i nieśmiałych, czy nie byłoby  
 dobrze, gdyby delegaci ziemstw przy tej sposobno-  
 ści omówili inne kwestye, mające dla mieszkańców  
 tamtejszej prowincyi równie doniosłe znaczenie,  
 jak pomór bydła. Wiersze te przekreślone były kil-  
 ka razy grubo czerwonym atramentem i z boku na-  
 bazgrany jedyny wyraz: „Zabroniono“. Przepowie-  
 dnia profesora spełniła się. Dziennik nie miał pra-  
 wa zauważyć, że może by dobrze było, gdyby de-  
 legaci poruszyli publicznie tę lub ową kwestyę, nie  
 mającą bezpośredniego związku z epidemią bydłą! Cenzor nie miał nic do zarzucenia, jeżeli chciano przed-  
 sięwziąć środki mające dobro bydła na widoku; lecz  
 propozycya, aby delegowani zwrócili uwagę na cier-  
 pienia uciskanych ludzi, nazywała się rewolucyjnym  
 zamachem na święte przywileje Korony. Klęska  
 wśród bydła mogła być usunięta, ale o „pladze biuro-  
 kratów“ nie wolno było pisać, tak, jak i o wielu  
 innych kwestyach.

Własne doświadczenia i zawód dziennikarza  
 spotęgowały zainteresowanie się moje praktyczną  
 stroną systemu rosyjskiej cenzury, po powrocie  
 więc z Syberyi do Europejskiej Rosyi poświęciłem  
 cały czas wolny [studyowaniu tej kwestyi](http://rcin.org.pl). Mówiłem

o niej ze wszystkimi wydawcami i redaktorami, z którymi zawarłem znajomość. Odwiedzałem redakcyę i przysłuchiwałem się specjalnie wszelkim uwagom personelu redakcyjnego, dotyczącym dopisków, wykreśleń i zakazów cenzora. Zebrałem sporą kolekcycę takich arkuszy, w celu zlustrowania tego systemu represyjnego i wykazania jak wąskie i szczupłe są granice pola, na którem rosyjscy redaktorzy i reporterzy mogą wyrażać swe poglądy, rozwijać swą działalność i przedsiębiorczość.

W redakcyi dziennika rosyjskiego praca odbywa się w ten sposób: między 11-tą a 12-tą w nocy przynoszą od cenzora ostatnie arkusze korekty. Redakcyja czynną jest przez całą noc, czekając na okrzyk: „cenzura”: następnie jeden z redaktorów przegląda popełnione błędy i komunikuje swym towarzyszom zmiany, porobione przez urzędowego stróża moralności publicznej, lub odczytuje tytuły artykułów, zabronionych zupełnie. Następuje krótka narada nad tem, co czynić wypada. Jeżeli cenzor uważał za stosowne poprzekreślać najbardziej treściwe części artykułu, to zadaniem redaktora nocnego jest przez zręczną operacyę nadać całości sens jakiś, lub też zaopiniować, że nie pozostaje nic innego jak wrzucić cały artykuł do kosza. Jeżeli zaś zmiany i przeróbki cenzorskie okazały się niezbyt ważne, to jednakże praca redaktora nie jest łatwiejszą, gdyż musi on odesłać każdy artykuł autorowi tegoż, z poleceniem załatania szkód poczynionych przez ołówek cenzora. Znaczna część przygotowanego i złożonego materiału bywa wyrzucaną w ostatniej chwili, w razie, gdy się cenzorowi spodoba

zaopatrzyć najważniejsze artykuły w napis „drukować nie wolno”, lub „szkodliwe w tendencji”. Zchwila gdy przejrane przez cenzora arkusze wracają do redakcyi i gdy on sam uda się na spoczynek kończy się robota redaktora i reportera. Ani jeden wiersz nie może być dodanym na łzpałtach dziennika bez upoważnienia cenzora — choćby się Moskwa do szczytu spaliła.

Kto nie jest zaznajomionym z procedurą cenzury rosyjskiej, temu się zdawać może, że wykreślenia *en gros* bywają rzadkie, że cenzorzy dają odczuć swą władzę rozsądnie i umiarkowanie. W rzeczywistości tak nie jest. Posiadam egzemplarze gazet rosyjskich, w których wykreślono całe artykuły i po osiem do dwunastu wiadomości, nie mówiąc już o drobnych zmianach w wyrażeniach.

Dnia 9 maja 1881 r. pan Adrianow, redaktor i wydawca „Syberyjskiej gazety” w Tomsku, otrzymał od cenzora arkusz, w którym wykreślono więcej niż połowę materiału, przeznaczonego do następnego numeru.

Rozgoryczony i zirytowany redaktor postanowił drukować numer, nie zastępując wykreślonego tekstu innym. Innemi słowy: postanowił zostawić miejsca wyrzucone przez cenzora zupełnie pustemi, pozostawiając samej publiczności wyciąganie odpowiednich wniosków. I zaiste—egzemplarz „Gazety Syberyjskiej” odbity 10 maja 1881 r. był najoryginalniejszym okazem dziennika, jaki kiedykolwiek dostał się do rąk prenumeratora. Na jednym miejscu bielala plama pusta, po której następował szczyłek jakiegoś wykoszlawionego artykułu; na



drugim wydrukowano jakiś niezrozumiały urywek bez początku i końca; potem dwa lub trzy tytuły, wzbudzające zainteresowanie tem, czego brakowało znówu na innej stronie, mała wysepka czarna druku na białem tle pustego papieru.

Ukazanie się tej „gazety” obudziło, oczywiście, powszechną ciekawość. Zapotrzebowanie było ogromne. Każdy rozumiał, co oznaczają owe puste miejsca i każdy chciał posiadać taki dziwny egzemplarz. Zwróciło to wkrótce uwagę policji i odrazu wydano rozkaz skonfiskowania i zniszczenia całego nakładu. Rozkaz ten został tak skrupulatnie wykonany, że ani jeden egzemplarz nie ocalał. Pan Adrianow sam nie umiał mi powiedzieć po upływie czterech lat, gdziebym mógł znaleźć choć jeden numer.

Pokazał mi tylko następny numer, w którym cenzor ze zwykłą naiwnością i niekonsekwencją pozwolił ogłosić następującą „odezwę do prenumeratorów“:

„Redaktor „Syberyjskiej Gazety” uważa sobie za obowiązek podać do wiadomości abonentów, że numer 11 gazety nie został im doręczony z następujących powodów: redaktor pozostawił kilka pustych szpalt, gdyż nie znał paragrafu ustawy prasowej, zakazującego pozostawianie miejsc pustych tam, gdzie cenzor uważał za stosowne cośkolwiek wykreślić. Na telegram jednak, który redaktor wysłał w tej kwestji do ministra spraw wewnętrznych otrzymał on odpowiedź od ochmistrza dworu P. P. Wiaziemskiego, dyrektora wydziału do spraw prasowych, następującej treści: „Miejsca pu-

ste na szpaltach dziennika są wyrazem protestu przeciw cenzurze i nie mogą być dozwolone.”

Egzemplarz „Syberyjskiej Gazety,” zawierający ten szczególny przypisek — Nr 12 dnia 17 maja 1881 r.—znajduje się w mojem posiadaniu. Od tego czasu gazeta ta była dwa razy zawieszana z powodu „przejawiania tendencji szkodliwych” i wreszcie zupełnie zamkniętą pod pozorem, że daje zatrudnienie osobom „niebłagonadiożnym” i że wydrukowała wzmiankę pośmiertną z powodu zgonu przestępcy politycznego Sabałowa.

Kierunek szkodliwy tej gazety przejawiał się, jak wywnioskowałem z licznych arkuszy cenzury, będących moją własnością, w akcji patryotycznej, polegającej na zwracaniu uwagi społeczeństwa rosyjskiego na oszukaństwo, podłości, i okrucieństwa urzędników syberyjskich.

Dawny redaktor, pan Adrianow, jest człowiekiem charakteru prawego i wysokiej szlachetności. Od czasu zamknięcia gazety zajmuje się on, z polecenia zachodnio-syberyjskiego oddziału towarzystwa geograficznego, badaniami archeologicznymi. Archeologia mająca do czynienia z czasami zamierchłej przeszłości, jest gałęzią wiedzy ludzkiej nie podlegającą nadzorowi cenzora.

Jeżeli pan Adrianow nie będzie miał nieszczęścia odkryć jakiego starożytnego napisu lub hieroglificznego aforyzmu, który by był niezbitym dowodem, że kiedykolwiek i gdziekolwiek żył naród nie będący ani pod panowaniem rosyjskiem, ani pod kontrolą cenzora, to możliwem jest, że wolno mu będzie dalej prowadzić swoje nieszkodliwe badania.

Dziennikarzowi amerykańskiemu musi się wydać wysoce naiwną sprzeczność, nakazująca skonfiskować i spalić całkowity nakład gazety za to, że ustępów artykułów wykreślone przez cenzora niczem nie zastąpiono, a pozwalająca w następnym zaraz numerze opublikować w formie odezwy do czytelników, okoliczności, fakt ten wyjaśniające. Lecz niezbadane są wyroki urzędników rosyjskich. Zresztą, w historyi cenzury rosyjskiej istnieje więcej takich udatnych prób uniknięcia kolizyi z rządem a zwrócenia pomimo to uwagi społeczeństwa na niesprawiedliwość represyi rosyjskiej.

Na początku 1886 r. czyniono w całej Rosyi przygotowania do uczczenia 25-letniej rocznicy uwłaszczenia włościan. Uroczystości takie nie są w Rosyi niczem nadzwyczajnem i nikomu, oprócz sferom urzędniczym, nie przysłoby do głowy ani na chwilę, że rząd może stanąć na przeszkodzie uczczeniu jednego z ważniejszych wypadków ostatniej doby historyi Rosyi.

Wskutek polityki reakcyjnej, znamionującej rządu Aleksandra III, hrabia Dymitr Tołstoj, który wtedy był ministrem spraw wewnętrznych, wydał wszystkim władzom administracyjnym rozporządzenie, zabraniające w całym państwie uroczystego obchodzenia rocznicy 19-go lutego; po za tem polecił wszystkim cenzorom, aby dali do zrozumienia redaktorom wszystkich gazet, że wszelkie wzmianki tego dnia o uwłaszczeniu włościan, lub artykuły, dotyczące tej sprawy, są surowo zabronione. Rezultatem tego rozporządzenia było ukazanie się gazet 19-go lutego 1886 roku, redagowanych tak, jak na



skrępowanych i zakneblowanych niewolników przystało. Ani jedna z nich nie wspomniała nawet o znaczeniu tego dnia, dnia wielkiego oswobodzenia, które go upamiętniło.

Jednak nie *wszystkie* gazety ukazały się dnia tego w Rosyi: „Gazeta rosyjska” wychodząca w Moskwie postanowiła, wobec tego, że zabroniono jej mówić o tym dniu uroczystym, uczcić go w jedynej możliwy sposób, a mianowicie: nie ukazać się wcale. Można było jej zabronić mówić wogóle, ale rząd nie mógł nikogo zmusić do wystąpienia z kagańcem na ustach. Gdyby minister spraw wewnętrznych był się wcześniej dowiedział o tem postanowieniu, znalazłoby prawdopodobnie środki i drogi do zmuszenia gazety do ukazania się dnia tego, ale nie uprzedzono go dosyć wcześnie i w nocy z 18-go na 19-ty lutego 1886 roku drukarnia tego dziennika była nieczynną. Gdy następnego dnia ludzie pytali, co się stało w „Gazecie rosyjskiej”, jeden drugiemu odpowiadał szeptem: „gazeta czci milezeniem 25-letnią rocznicę uwłaszczenia włościan”.

Z tych kilku ilustracyi stosunków w prasie rosyjskiej, czytelnik może stworzyć sobie odpowiednie pojęcie, w jak sumaryczny sposób rząd załatwia się z dziennikami, zdradzającymi „kierunek szkodliwy”. Tymczasem dzienniki rosyjskie nie były jedynymi gazetami, czytowanymi w tem państwie. Dzienniki i czasopisma wychodzące w Londynie, Paryżu, Berlinie i New-Jorku przychodziły stale do Rosyi wnosząc na swych szpaltach posiew niezadowolonia i „rozkładu.” Jak można było uchronić

poddanych cesarskich od zgubnego wpływu literatury obcej? Cenzor rosyjski, pomimo całej swej władzy i potęgi, nie mógł przekreślać czerwonym atramentem arkuszy korekty londyńskiego *Timesa* lub *The Century Magazine*, za to, że przynosiły one artykuły o systemie deportacyi więźniów. A jednak trzeba było w jakikolwiek sposób uchronić naród rosyjski od niecných artykułów takich dzienników. Wobec tak trudnego zadania rząd widział się zmuszonym do wystąpienia z całą stanowczością i siłą. Ogłoszono, że posiadanie zabronionych pism jest przestępstwem karygodnem i—jak gdyby to nie wystarczało — przestano szanować dyskrecyę własnej poczty, otwierano, przeglądano treść każdego zagranicznego pisma i mianowano całą armię nowych cenzorów których zadaniem było wycinanie lub „czernienie” każdego artykułu, krytykującego system rządu rosyjskiego, A każdy, tego rodzaju, utwór posiadał w oczach cenzora „kierunek szkodliwy.” Do rzędu „szkodliwych” zaliczono oczywiście artykuły o Syberyi, które ukazywały się w *Century Magazine*. Na kilka miesięcy przed wydrukowaniem ich posłałem kilka numerów tego pisma jednemu z moich przyjaciół do Syberyi zachodniej, sądząc że w ten sposób utrwaleę wiarę cenzora w „nieškodliwość” tego pisma. Zdawało mi się, że cenzor zadowolony się przejrzeniem trzech lub czterech numerów i nie znalazłszy nic szkodliwego, odwróci swą uwagę, tak że dwa lub trzy artykuły o systemie deportacyjnym przejdą niepostrzeżenie. Miałem się wkrótce przekonać, że przejrzenie trzech niewinnych numerów obcego pisma nie jest w stanie

uśpić czujności cenzora pogranicznego. Pierwszy z brzegu artykuł o stosunkach rosyjskich został wycięty lub też „zaczerniony” i ani jeden z następnych nie uszedł podobnemu losowi.

W lecie 1888 r. pewien Amerykanin, pan Holl zwiedzał Rosyę i otrzymał z poczty między innymi, numer *Century Magazine* z którego nietylko że wycięto artykuł o Syberyi, ale zaczeruiono wszystkie szpalty, zawierające ogłoszenia. Chcąc się dowiedzieć dlaczego poczytano za niewłaściwe ogłoszenia nawet, zwrócił się do policyi w tem mieście, w którym znajdował się przypadkowo, i spytał o przyczynę tej ostrożności. Utrzymał, że nie dziwi go zupełnie wykreślenie artykułów o Rosyi, ale nie może zrozumieć dlaczego ten sam los spotkał ogłoszenia. I dodał z łagodnym humorem amerykańskim, że może to dlatego, że niektóre reklamy dają pierwszeństwo mydlom amerykańskim. Ze spostrzeżeń, które udało mu się zrobić podczas podróży po Rosyi, mógł on wprawdzie dojść do wniosku, że mydło należy do przedmiotów zabronionych; w tym wypadku byłoby zupełnie rozumiałem, gdyby cenzura wykreślała wszystkie ogłoszenia, dotyczące mydła, zwłaszcza zagranicznego. Urzędnik, nieprzyzwyczajony do rodzaju żartów amerykańskich czuł się dotkniętym i pan Holl miał dużo trudu z uspakajaniem go. Gdy mu się to wreszcie udało, obrażony urzędnik objaśnił go z miną surową i oficjalną, że ogłoszenia w *Century Magazine* zostały wycięte dlatego, że oznaimiają o ukazaniu się książek antyreligijnych, Z jakiego punktu widzenia zaśniedziła prawowierność



dyktowała tego rodzaju sąd o ogłoszeniach pisma angielskiego—tego nie mogę odgadnąć.

Od czasu pobytu pana Holla w Rosyi każdy numer tego czasopisma, który próbowałem przesłać moim przyjaciołom, bywał w mniej więcej taki sposób okaleczany. Własne moje artykuły bywały stale wycinane lub czernione i niejeden ustęp z *Życia Lincolna* doznał tego samego losu. Usuwanie ustępów niepożądanych z pism zagranicznych odbywa się w Rosyi w sposób dwojaki: Jeżeli artykuły są obszernie—to wycina się odnośne kartki; jeżeli zaś są krótkie, to czerni je się farbą drukarską przy pomocy walca, mającego mniej więcej szerokość zwykłej szpalty drukarskiej. Walec ten jest pokreślony w taki sposób, aby farba tworzyła grubą sieć linii białych i plam dziwnych. Szczególny, ziarnowaty wygląd oporządzonego w ten sposób arkusza skłonił czytelnika rosyjskiego do wynalezienia dlań specjalnej nazwy „skawiorowany”. Kto widział kromkę chleba z masłem, posmarowaną warstwą ciemnego słonego kawioru, musi uznać tę obrazową nazwę za szczęśliwie pomyślaną. Każdy Rosyanin wie także, że „kawiorować”, to znaczy czernić walcem cenzora. Drobiazgowość tej specyficznie metody rosyjskiej rozpowszechniania ciemnoty musi każdego Amerykanina w podziw wprawić, jak również zimna krew i bezczelność, z jaką się to robi. Nie spełnia ona swego zadania i nie jest w możności spełnienia go dopóty, dopóki rząd rosyjski nie będzie kontrolował wszystkich listów, dopóki mieszkańcy Petersburga lub Moskwy będą mogli pisać do pierwszego lepszego księgarza w Paryżu, Lon-

dynie lub Berlinie z poleceniem wysłania im pod pieczęcią oddzielnego artykułu poprzednio „skawiorowanego” lub całej seryi artykułów o Rosyi, które się były ukazały w jakiegokolwiek gazecie lub czasopiśmie. Pomimo wszystkich wysiłków, jakie zadawali sobie cenzorowie rosyjscy, nie udało mi się jednak zamknąć granic kraju dla artykułów o Syberyi, które się ukazały *Century Magazine*. „Poczernione” artykuły nie tylko krążyły po Rosyi, lecz były tłumaczone i hektografowane i przechodziły z rąk do rąk po całym państwie. Niektóre z nich doszły nawet do rąk zesłańców politycznych w najdalszych stronach Syberyi. Z żalem przyznać muszę, że czasami wyrządzały one dużo szkody odbiorcom. Do tej pory pokutuje w więzieniu pewien młody Rosyanin, u którego znaleziono owe artykuły. Przed niedawnym czasem wysłałem na usilne prośby pewnego mego znajomego, młodego dziennikarza Jana Pietrowicza Bielokonskiego zamieszkałego w Rosyi centralnej jeden numer pomienionego pisma. Obawiałem się, że może go to narażać, lecz prośby były tak natarczywe, że nie mogłem odmówić. Przed kilkoma dniami otrzymałem od jednego z jego znajomych list następujące treści:

*Rosya 16/28 grudnia 1889 r.*

Szanowny Panie Kennanie!

„Korzystam ze sposobności, aby skreślić do pana kilka słów i zakomunikować Mu garść smutnych wiadomości. Nie wiem czy doszły do pana wiadomości o losie Jana Bielokońskiego, któremu

pan przysłał dwie ilustracje <sup>1)</sup>. Znajomy jego, któremu Bielokoński podarował owe ilustracje został aresztowany i policya przywiązała tak wielką wagę do tych dokumentów, że zawezwała do badania przyjaciela pana i w następstwie oddała go pod „specyalny nadzór”. Stało się to w grudniu 1888 r. D. 29 kwietnia roku następnego o godzinie 3-iej w nocy ukazała się policya w domu Bielokońskiego w celu dokonania rewizyi. Nie znaleziono nic zabronionego oprócz *L'empire des Tsars* Leroy-Beaulieu i trzech artykułów pana z *Magazine'u*. Tego dnia odbyły się rewizye w 18-u mieszkaniach z przyczyn do dzisiaj nikomu nie wiadomych. 8-go maja zawezwano Bielokońskiego do powtórnego badania, po którym został wtrącony do więzienia, gdzie się jeszcze znajduje.

Dziwnem się panu zapewne wyda, że człowieka, utrzymującego rodzinę, aresztują w ten sposób i trzymają w więzieniu przez osiem miesięcy. Dlaczego? Prawdopodobnie tylko dlatego że znaleziono u niego artykuły pana. My Rosyanie jesteśmy do tego rodzaju faktów tak przyzwyczajeni, że nie są one dla nas żadną niespodzianką, zasmucają nas tylko. W tem strasznem położeniu, w jakim się znajdujemy serca nasze tęsknią do wolności—a ileż jej mamy? Turcy nawet mają więcej, niż my, swobody.

Rodzina Jana Piotrowicza składa się z pię-

---

<sup>1)</sup> Były to dwa arkusze z ilustracjami, wydane przez redaktora „Century Magazine” dla zwrócenia uwagi na artykuły o Syberyi.



ciu osób. Znajduje się ona w wielkiej nędzy, nadomiar gubernator zabronił pani Bielokońskiej udzielenia lekcyi, nawet prywatnych. O inny zarobek w tem małym prowincjonalnem mieście bardzo jest trudno. Spytasz pan: „A więc z czego żyją?“ Pani Bielokońska umiała się jakoś dotychczas urządzić: wynajęła mniejsze i tańsze mieszkanie; sprzedawała lub zastawiała przedmioty cenniejsze a w końcu sprzęty domowe. Musiała z tego utrzymać nie tylko siebie, dzieci, ale i aresztowanego męża, któremu rząd daje strawnego dwa ruble trzydzieści kopiejek miesięcznie. Nie chcąc, aby zupełnie osłabł i rozchorował się z głodu, kupuje żywność i znosi mu ją do więzienia. Na szczęście jest to kobieta dzielnego charakteru. Gdyby nie była taką, nie pozostałoby jej nic innego jak odebrać sobie życie.

Chętnie przeczytałbym ostatnie pana artykuły, lecz nie mam odwagi prosić o przysłanie mi ich; odłożę to na czas bardziej sprzyjający. Gorący uścisk dłoni i serdeczne pozdrowienia zasyła szczerze oddany”.

Komentarze do tego listu są chyba zbyt liczne. Przyjaciel mój Bielokoński będzie prawdopodobnie zesłany drogą administracyjną na Syberyę za to, że czytał moje artykuły, a ja jestem wobec tego zupełnie bezsilny.

Czego się spodziewa biurokracya rosyjska „czerniac“ artykuły, przedstawiające jedynie we właściwym świetle stosunki w Rosyi, zamykając w więzieniach każdego, u którego znaleziono podobny artykuł?

W dziele najniespodziewanej początkowo przez cenzurę przepuszczonem, następnie zaś skonfiskowanem i spalonem, to samo pytanie zadaje p. Prugawin, autor: „Czyż jakakolwiek idea może być zduszoną? Czyż myśli mogą być zabite, zagrzebane i zniszczone? Czyż prawda, że miłość, sprawiedliwość i wolność nie są nieśmiertelne? Błędem największym jest muiemanie, że myśli mogą być tępio-  
ne. Narody całe zginęły, bohaterowie umierali w więzieniach i kajdanach, ciała ich poguiły, groby zapadły się, imiona ich często poszły w niepamięć, lecz myśli ich i dążenia żyją. Obmyte krwią męczenników ukazują się one w sennem marzeniu każdego człowieka, w którego mózgu tli się myśl, a w piersi serce bije“.

Gdy cenzor spalił książkę Prugawina, mogło mu się zdawać, że tem samem niszczył na zawsze jego wpływ zgubny. Lecz „myśli i dążenia“ autora genialnego „żyją“ a słowa jego, choć spalone na rozkaz rządu rosyjskiego, znajdują echo w setkach tysięcy serc w Anglii i Ameryce.

Nadejdzie czas, kiedy wolny Rosyanin, nie wiedzący co to jest cenzura, spojrzy na kartę historii swej ojczyzny, przypominającą czasy, kiedy opinia publiczna była krępowana, każda myśl tłumiona, wtedy z głębi jego serca wypłynie pragnienie, aby to poniżające, hańbiące wspomnienie było „zaczer-nione“.

## Najnowsza tragedia syberyjska.

W marcu 1890 r. gazeta *Trybuna New-Jorska* zamieszcza w niedzielę dnia 19 stycznia 1890 roku następujące wiadomości otrzymane od przygodnego korespondenta z Petersburga a dotyczące wymordowania politycznych zesłańców we wschodnio-syberyjskiem mieście Jakucku.

### *Petersburg 1 stycznia.*

Wiadomości londyńskiego *Timesa* o wymordowaniu politycznych więźniów ubiegłej jesieni we wschodniej Syberji, w mieście Jakucku, obudziły tutaj wielkie zainteresowanie. W okolicznościach zwyczajnych rząd jest zdania, że nie warto przywiązywać wagi do sądu angielskiego „gromiciela“ tembardziej że znanem mu jest stanowisko, jakie zajmuje od kilku lat w redakcyi *Timesa* zabójca szefa policyi, generała Mezencowa, przywódca nihilistów Kaczewski, znany pod literackim pseudonimem „Stepniaka“. W tym wypadku jednak arty-



kulę tego pisma o mordach w Jakucku odbiły się tak szerokiem echem i wywołały taką burzę protestów w całej prasie europejskiej, że rząd uznał za stosowne odstąpić od zwykłej swej polityki mileczenia pogardliwego i dać objaśnienie urzędowe wypadków. Zadaje on kłam pogłoskom o mordach, przyznaje jednak, iż w Jakucku odbyły się dwa starcia krwawe przy następujących okolicznościach:

Przed rokiem tutejszy departament policyi tajnej otrzymał wiadomości, iż większa część nihilistycznych pamfletów, proklamacyi i innych rewolucyjnych druków wychodzi z Syberyi.

W pierwszej chwili wydawało się to zupełnie niemożliwem, bacząc na surową kontrolę, pod którą znajdują się tak więźniowie jak i zesłańcy w większych koloniach karnych. Wydano jednak rozporządzenie, aby zbadać tę kwestyę i jeden z dzielniejszych urzędników, trzeciego wydziału kancelaryi cesarskiej, kapitan Russanow, został w tym celu wysłany do Syberyi. Po długich, dokładnych badaniach udało mu się odkryć w Jakucku istnienie bardzo dobrze urządzonej drukarni tajnej. Miejsce to wydawałoby się ostatniem na świecie dla prowadzenia nihilistycznej roboty, gdyż tylko najniebezpieczniejsi, szaleni więźniowie znajdują się w Jakucku. Nazwiska ich nie są znane nawet władzom miejscowym, gdyż z chwilą kiedy opuszczają oni Tomsk, tracą je i oznaczani bywają numerami. Wskutek niebezpiecznego charakteru podlegają oni szczególnemu i bardzo surowemu nadzorowi.

Kapitan Russanow wykrył, że więźniom tym udało się za pomocą ogromnych przekupstw, zyskać

dla siebie zabajkalskich kozaków, pełniących przy nich obowiązki straży i że ci pomagają przy transportowaniu druków do Rosyi. Poczyniwszy odpowiednie przygotowania, kapitan kazał pewnej nocy otoczyć policyą i żołnierzami dom, w którym znajdowała się drukarnia i po krwawej bójce, w której odniosło ciężkie rany od strzałów rewolwerowych i cięć pałaszów kilku policyantów i kilku spiskowców, udało się mieszkańcom domu zaaresztować i zamknąć w więzieniu. Po kilku tygodniach zostali oni stawieni przed sąd i sędziowie z niebywałą w takich wypadkach łagodnością skazali przestępców na deportację do dalszych i surowszych kolonii. Dążeniem bowiem sędziów było rozprószenie ich i rozmieszczenie na dużych przestrzeniach, aby zapobiedz wszelkiemu komunikowaniu się ich między sobą. Doniesienie urzędowe wyjaśnia, że skazańcy po wysłuchaniu wyroku i wyprowadzeniu ich z sądu, rzucili się na eskortę. Kilku miało rewolwery, które skierowali przeciw urzędnikom policyjnym. Na pomoc tym ostatnim przybyli żołnierze i dla stłumienia buntu okazało się koniecznem zastrzelenie lub zakłucie bagnietami kilku skazańców. Trzech pozostałych przy życiu zostało skazanych na śmierć przez powieszenie, reszta zaś, zamiast zwykłej deportacyi, na roboty ciężkie w kopalniach. Objasnienie to ze strony rządu zostało wszędzie uznane za zasługujące na wiarę...“

To, że ministrowie nie zupełnie są obojętni na zdanie świata cywilizowanego i że można ich zmusić do tłumaczenia się z niektórych niezwykłych ich czynów, gdyby to tłumaczenie było nawet kłam-

stwem, jest już pewnym zadawalającym objawem. Gdy się jednak patrzy na to z moralnego punktu widzenia, to zdaje się, że dla biurokracyi rosyjskiej, byłoby jednakże lepszem pominięcie zupełnem milczeniem zarzutów okrucieństwa i barbarzyństwa, z którymi londyński *Times* przeciw niemu występował, niż odpowiadanie na nie w sposób nietylko kłamliwy, ale brzmiący i naiwnie, i komicznie.

Wymordowanie politycznych zesłańców w Jakucku, nastąpiło w marcu, a więc rok temu. Nawet w takim kraju, w którym okrucieństwo i bezprawie są objawami zwykłemi, fakt jaki się zdarzył w Jakucku, zastrzelenie około dwudziestu prawie bezbronnych więźniów politycznych, zakłucie bagnetami kobiety, powieszenie trzech pozostałych i skazanie pozostałych na roboty ciężkie—może być czemś, co zwraca uwagę najobojętniejszej nawet prasy. Jest to wypadek doniosłego znaczenia, nie mówiąc zupełnie o wnioskach jakie z tego można by wysnuć. A jednak najbardziej uważny czytelnik gazet rosyjskich, szukałby napróżno choćby krótkiej wzmianki lub napomknienia o masowym mordzie, dokonanym w Syberyi wschodniej, na inteligentnych mężczyznach i kobietach. Przez dziesięć miesięcy cała prasa rosyjska pograżyła się w głuchem milczeniu o tej sprawie, nie dlatego, że redaktorowie rosyjscy nic o niej nie wiedzieli, nie dlatego, że zastrzelenie zesłańców i zakłucie kobiet niewinnych, wydało im się faktem obojętnym, ale dlatego, że cenzura zamykała im usta.

Ja sam prenumeruję i czytuję pięć czy sześć



dzienników rosyjskich, między innemi „Gazetę Rosyjską“, wychodzącą w Moskwie „Wiestnik Jewropy“ i „Przegląd Wschodni“, wychodzące w Irkucku, stolicy Syberyi wschodniej, a więc niedaleko—podług syberyjskich pojęć o przestrzeni—od widowni tragedyi jakuckiej. Ani jednym słowem pisma te nie wspomniały o okrutnej, niezem nie wywołanej zbrodni.

Widocznie władze nie odważyły się postawić nawet we własnem oświetleniu sprawy tej przed sąd swego narodu. Jeżeli to było czynem sprawiedliwym, obroną konieczną, dlaczegoż nie wyjaśniły one, że polityczni zesłańcy w Jakucku zostali aresztowani i skazani dlatego, że utrzymywali drukarnię tajną w celach rewolucyjnych; że dopuścili się, po opuszczeniu sali sądowej, zbrojnego napadu na straż, wobec czego rzeczą konieczną było uśmierzenie buntu, nawet za cenę kilku istnień ludzkich? Jedynym powodem, dla którego wyjaśnienie takie nie nastąpiło, jest to, iż biurokracya obawiała się śledztwa i badania. Miała ona nadzieję utrzymać naród w nieświadomości nietylko co do bliższych okoliczności, towarzyszących mordowi, ale co do samych faktów.

Pierwsze wiadomości o tragedyi w Jakucku, otrzymałem ubiegłego lata w liście prywatnym z Syberyi. Od tej pory otrzymałem osiem oddzielnych, niezależnych od siebie opisów tego faktu, oraz kopie papierów urzędowych, plany domu i dziedzina, na którym rozegrało się całe zajście, nazwiska wszystkich urzędników i zesłańców, całkowity tekst wyroku sądu wojennego, skazującego pozostałych

przy życiu, ostatnie listy trzech powieszonych i wszelkie najdrobniejsze szczegóły potrzebne do zupełnego wyjaśnienia całej sprawy.

Wiadomości te, przetłumaczone i opublikowane, zapewniłyby tomy całe, a otrzymałem je, jak już wspomniałem, od ośmiu różnych osób — z których nie wszystkie są na zesłaniu i pochodzą z różnych części państwa rosyjskiego. Niektóre znam osobiście jako ludzi, godnych szacunku i zaufania; ludzie ci nie byłiby zdolni do popełnienia kłamstwa, nawet w celu służenia dobrej sprawie. Oprócz tego dzieli ich tysiące mil stepów syberyjskich, nie mogliby więc umówić się, w celu wprowadzenia mnie w błąd, gdyby nawet chcieli; oprócz tego jeden o drugim nie wie, że do mnie pisali. Dane te chyba zasługują na wiarę i zbytecznym jest wyszukiwanie innych. I przekonany jestem, że wystarczyłoby materiał przezemnie zebrany opublikować, a naród amerykański byłby w zupełności przekonany nie tylko o okrucieństwie biurokracji rosyjskiej, ale i o bezczelnej kłamliwości, z jaką się podobne czyny w odpowiednie słowa ubiera.

Oficyalne doniesienia korespondenta „Trybuny“ chcą zdyskredytować wiadomości londyńskiego „Timesa“, przypisując je przedewszystkiem znanemu autorowi rosyjskiemu Stepniakowi i oczerniając przytem jego charakter osobisty. Jest to charakterystyczna rosyjska metoda walki: szczytem strategii dla biurokraty rosyjskiego, jest oczernianie przeciwnika, nazywanie go mordercą. Uważam obronę Stepniaka za zbyteczną, gdyż może on sam to uczynić; nie wiem też czy jest on współpracowni-

kciem londyńskiego „Timesa“, lecz wiem, że wszystkie wiadomości tego dziennika, o mordzie w Jakucku zgodne są z rzeczywistością, że są one jednobrzmiące w treści z ośmioma niezależnymi od siebie opisami, które otrzymałem z Rosyi i Syberyi. Moje opisy są dłuższe, zawierają więcej szczegółów, lecz potwierdzają każdy moment faktyczny wiadomości opublikowanych w „Timesie“.

Urzędnicy rosyjscy w Petersburgu utrzymują, podług zapewnień korespondenta „Trybuny Nar. Yorskiej“— że tragedia syberyjska jest jakoby pośrednim wynikiem odkrycia „nihilistycznej“ drukarni w Jakucku, przez kapitana Russanowa. To jest bezsporny fałsz. Generał, nie zaś kapitan—Russanow podróżował przed dwoma laty po Syberyi, jakoby w celu zbadania życia zesłańców.

Powrócił on dawno z tej podróży, zdaje się, do Petersburga, i nie był wcale w Jakucku. Najbardziej godnemi zaznaczenia czynami jego tam, były, po pierwsze, zamknięcie liberalnej tomskiej „Gazety Syberyjskiej“, za to, że dawała zajęcie „politycznym“ i za wzmiankę pośmiertną o jednym z nich (ob. poprzedni rozdział), po drugie, zniszczenie wszystkich napisów na grobach politycznych przestępców, zmarłych w Tomsku. Pomiędzy tymi napisami, niszczo-nymi pod osobistym dozorem Russanowa, znajdowały się następujące: „A... B... zmarł samotnie w więzieniu w Tomsku 188...“, i „B... C... zmarł w Tomsku 188... w ... roku życia“. Tu następowały słowa Chrystusa: „Niemasz większej miłości ludzkiej niż ta, która życie dla przyjaźni poświęca“. Słowa te zostały zatarte.



Przypuszczam, że oficer, który jest zdolny do prześladowania wrogów politycznych aż po za grób i do ścierania słów Chrystusa z płyt mogilnych, że taki oficer ma możność odkrycia „nihilistycznej“ drukarni w takim miejscu, w którym nigdy nie był. Jeżeli tak było w rzeczywistości, to dlaczegoż nie skonfiskował on tej drukarni, wówczas kiedy był na Syberyi? Dwa lata upłynęły od czasu, kiedy czytałam w gazetach syberyjskich o bytności jego w różnych miejscowościach. Temu, kto zna Jakuck tak, jak ja znam to miasto, musi się ta historia o wykryciu „nihilistycznej“ drukarni wydać nieprawdopodobną. W Rosyi maszyny drukarskie nie rosną na pierwszym lepszym drzewie. Rząd uważa je za niebezpieczniejsze od dynamitu i nawet w największych miastach jak Petersburg i Moskwa ukrycie ich jest połączone z ogromnemi trudnościami i strasznym niebezpieczeństwem. W jaki więc sposób mogłaby garstka zesłańców politycznych, żyjących pod surowym nadzorem policyjnym, nie posiadająca wcale pieniędzy, sprowadzić maszynę drukarską do tak oddalonego miasta, jak Jakuck? W samem tem mieście niema zupełnie gazet i, o ile mi wiadomo, maszyny drukarskiej nie znalazłby w promieniu tysiący mil. Następnie, trzeba i to wziąć pod uwagę, jaki pożytek mieliby zesłańcy z posiadania maszyny drukarskiej, gdyby ją już wreszcie mieli? Jakuck jest miasteczkiem z sześcioma tysiącami mieszkańców, z których każdy znanym jest policyi i urzędnikom, a korespondencya zesłańców znajduje się pod surową „kontrolą“. W jaki sposób mogliby oni transportować bibliotekę znacznej ilości do europejskiej

Rosyi na przestrzeni większej niż cztery tysiące kilometrów, nawet, gdyby im się udało, wygotować owe druki?

Urzednicy w Petersburgu utrzymują następnie, jak donosi korespondent „Tribuny“, że tylko najniebezpieczniejsi więźniowie bywają zsyłani do Jakucka. Nazwiska ich nie są znane nawet władzom miejscowym, gdyż z dniem opuszczenia Tomską bywają oni oznaczani numerami. I te twierdzenia są fałszywe, a to ostatnie nawet niemądre. Połowa politycznych więźniów w Jakucku została zesłana do Syberyi drogą administracyjną, bez wyroku sądowego. Nie było dowodów wystarczających nawet na to, aby sąd rosyjski ich skazał, wysłano ich przeto na mocy zwyczajnego rozkazu ministra spraw wewnętrznych. Nazwiska ich są często przybrane, lecz zwyczaj oznaczania więźniów numerami jest w Syberyi zgoła nieznan. Jeden jedyny podobny wypadek jest mi znany, a stało się to dlatego, że więzień odmawiał wszelkich wyjaśnień co do swojej osoby. Został on wysłany do kopalni jako „dwójka“ tylko dlatego, że władza nie mogła się dowiedzieć, kim był w samej rzeczy.

Urzednicy w Petersburgu objaśniają dalej mord w Jakucku, według słów korespondenta „Tribuny“, że „niebezpieczni i szaleni“ więźniowie polityczni, wyprowadzeni po wysłuchaniu wyroku, z powodu utrzymywania „nihilistycznej“ drukarni na dziedzińcu, napadli nagle na straż z nabitemi rewolwerami, wskutek czego użycie kul i bagnatów stało się koniecznym dla stłumienia powstania.

Zesłańcy otrzymali chyba owe rewolwery na-

bite w ten sam cudowny sposób, jak i maszynę drukarską. Każdy, kto choć trochę zna więzienia rosyjskie i sądy, wie, że więźniowie przed odprowadzeniem do cel i przed wprowadzeniem przed sąd bywają poddawani ścisłej rewizyi. Zupełnie nieprawdopodobnem jest to, że dozwolono więźniom „niebezpiecznym“ po aresztowaniu ich, zabrać do cel nabite rewolwery; jeszcze nieprawdopodobniej brzmi to, że pozwolono im mieć przy sobie tak groźną broń, kiedy stawiono ich przed sądem. Policya rosyjska może być głupią, ale tak głupią nie jest, aby wprowadzić „niebezpiecznych“ aresztantów, ze schowanymi w ich kieszeniach nabitemi rewolwerami.

Cała historia nosi na sobie stempel naiwnej blagi, wymyślonej po to, aby ukryć takty prawdziwe, aby oszukać czytelnika, nie wtajemniczonego w życie zesłańców. Mord w Jakucku nie był wynikiem odkrycia „nihilistycznej” drukarni, ani napadu „niebezpiecznych“ ludzi na straż — jeno bezpośrednim rezultatem urzędniczej głupoty i brutalności, a pośrednim okrutnego i niepotrzebnego rozkazu gubernatora prowincyi jakuckiej, generała Ostaszkina. Zwierzchnik ten zamierzał dwudziestu lub trzydziestu administracyjnie zesłanych porozmieszczać w okolicach podbiegunowych i wyprawić ich bez odpowiedniej odzieży i w tak licznych oddziałach, że nieszczęśliwi musieliby w drodze wyginać z głodu, nie mogąc znikąd dostać żywności. Znam tę okolicę dokładnie. Przejechałem ją w części na sarniach, zaprzężonych w psy w roku 1867-68 i przypominam sobie, że przez cały tydzień termometr mój wskazywał temperaturę od 40 do 50 według



Fahrenheita niżej zera. O mało nie straciłem wtedy jednego z moich ludzi, który przybył w nocy skostniały do obozu, i pomimo, że byłem doskonale wyekwipowany i odżywiany, cierpiełem strasznie z powodu straszego zimna i trudów podróży. I do tego pustkowia, które ja w 1867 r. na saniach przebyłem wśród najstraszliwszych wysiłków, generał Ostaszkin zamierzał wysłać dwudziestu do trzydziestu politycznych — między nimi dwie czy trzy kobiety — bez odpowiednich środków do życia, bez wystarczającej odzieży i w dodatku tak dużemi partjami, że nawpół dzicy jakucey woźnice, na bardzo oddalonych od siebie stacyach, nie mogliby ich zaopatrzyć w żywność, ani wieźć dalej. Gdy zesłańcy podali do gubernatora Ostaszkina prośbę o rozesłanie ich do miejsca przeznaczenia w sposób dotychczas praktykowany, po dwóch, z wystarczającym zapasem żywności i odzienia, puścił on oddział kozaków z nabitemi strzelbami na dom, w którym zebrani proszący oczekiwali na odpowiedź, i rozkazał oficerom sprowadzić ich do biura policyjnego. Kozacy próbowali wygnać oburzonych więźniów z domu, kłując bagnietami i tłukąc kolbami strzelb.

Niektórzy więźniowie stawiali opór, ale byli to tylko ci, którzy nie rozumieli tej niespodziewanej odpowiedzi na ich prośbę.

A potem nastąpiła rzeź, o której pisze korespondant londyńskiego *Times'a*. Sześciu politycznych zabito, między nimi młodą dziewczynę, którą zakłuto bagnietami, dziewięciu ciężko raniono, a resztę pobito niemilosierdzie.

Środki takie nie pomagają nic, rozgoryczają

jedynie i powiększają zło, przeciw któremu są skierowane.

Pozostali przy życiu po mordzie jakuckim stawieni zostali przed sąd wojenny i oskarżeni o zbrojny opór władzy i bez prawa obrony uznani za winnych. Trzech powieszono; czternastu, w tej liczbie cztery kobiety, skazano na dożywotnie roboty ciężkie; pięciu, w tej liczbie dwie kobiety zesłano na 15 lat do kopalni: czterej młodzieńcy i kobiety niżej dwudziestu lat, otrzymali po dziesięć lat robót ciężkich; wreszcie dwóch odesłano jako przymusowych osiedleńców do Wierchojańska i Średniego Kolińska, najbardziej oddalonych części prowincyi Jakuckiej. I wyrok ten jest zdaniem urzędników petersburskich dowodem „niezwykłego umiarkowania“ sędziów sądu wojennego. Dalszym dowodem tej „niezwykłej łagodności“ jest fakt, że przestępca polityczny, Kohan Bernsztein, raniony ciężko kolbami podczas rzezi jakuckiej, poleżawszy pięć miesięcy w szpitalu więziennym, został przyniesiony pod szubienicę na łożku polowem. Wieszano go w ten sposób, że założono mu pętlę na szyję, poczem wysunięto łożko z pod niego.

Na godzinę może przed nałożeniem stryczka jeden ze skazanych skreślił kilka słów pożegnania do towarzyszy: „Nie obawiam się śmierci — mówi on — lecz spróbujcie wy uczynić śmierć naszą — pożyteczną. O tem wszystkim donieście Kennanowi“.

Wezwanie to, skierowane do mnie, nie będzie daremne. Póki ja żyję, cały świat mówiący po angielsku będzie znał szczegóły tej zbrodni ohydnej.

## Rosyjski kodeks karny.

Kodeks karny państwa jest w pewnej mierze wskaźnikiem życia narodu. Ujawnia on zło, na jakie naród cierpi, i środki lecznicze, przedsiębrane przez rząd przeciw niemu, pozwala on wyrobić sobie pogląd na stan moralności i oświaty narodu.

Kodeks karny rosyjski w przejrzanem i poprawionem wydaniu z 1885 r. przedstawia gruby tom w oktawie, zawierający 700 stronnic, gdzie wszystkie przestępstwa i przekroczenia podzielono na dwańście głównych kategorii.

Za podstawę do tego podziału prawodawca przyjął doniosłość i wagę przestępstw, rozmieszczać je, wedle tej zasady, w porządku kolejnym i przechodząc od najważniejszych do mniej ważnych. Na pierwszym tedy miejscu postawiono przestępstwa przeciw kościołowi i państwu, na ostatku idą przestępstwa przeciw życiu, wolności i czei osób prywatnych; pierwsze zajmują nierównomiernie więcej



miejsca i większą część kodeksu, niż te ostatnie. Wszystkie artykuły pierwszej części i większość 8-mej i 9-tej zajmują się bezpieczeństwem państwa, jako organizmu politycznego, i mają na celu zabezpieczenie jego bytu i umocnienie przewagi. Zwraca tu uwagę, że przestępstwa te pod względem surowości grożących za nie kar—od robót ciężkich i zesłania, aż do więzienia—postawiono na jednym szczeblu z rabunkiem, rozbojem i morderstwem, dalej, że za przestępstwa przeciw religii, herezyę i schyzmę, czyli za przekonania religijne, niezgodne z aprobowanymi lub dozwolonemi przez państwo, grożą podobnie surowe kary...

Wśród przestępstw przeciw państwu godnem jest uwagi, że artykuł 249, zwany przez przestępców politycznych, z powodu owej rozciągłości „artykułem — omnibusem”, grozi karą śmierci nietylko podżegaczom do buntu, ale i współdziałającym i ukrywającym takich przestępców lub takie przestępstwo; dalej, że wszelka krytyka praw i działalności władz, wyrażona publicznie lub nawet na prywatnem zebraniu, ulega surowej karze (art. 1035). Amerykanin tymczasem nie może sobie wyobrazić państwa, gdzieby wyrażenie osobistego zdania publicznie o działalności władz i urzędników mogło nie być dozwolone. Wreszcie surowe kary za opuszczenie granic państwa bez odpowiedniego pozwolenia i nieposłuszeństwo w razie wezwania przez władze państwowe do powrotu, bez przedstawienia usprawiedliwiających powodów, za co nawet majątek nieobecnego podlega kuratelii państwowej (art. 326)—wyjaśniają, dlaczego niezadwoleni nie mogą

po większej części zerwać więzów, łączących ich z państwem. Dlatego to poeta Turgieniew, jak wspomina w liście do przyjaciela Annenkowa, wezwany w 1863 r. z Paryża do Petersburga dla usprawiedliwienia się osobistego z wypowiedzianych w druku i ustnie przekonań, choć posłuszeństwo było dlań bardzo ciężkiem, stawił się jednak na takie wezwanie władz państwowych.

Dokładniejsze zapoznanie się z duchem i treścią tego kodeksu rzuca także niemałe światło na źródła i przyczyny tego stanu niezadowolenia, popychającego tyle jednostek do walk rozpaczliwych, które kończą się dla nich tak tragicznie—zesłaniem na Syberyę w kajdanach, lub hańbiącą śmiercią na szubienicy.

K O N I E C.

WYCIĄG Z KATALOGU  
**„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.**

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ” (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1906.

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
413.	Gen. Roman Sołtyk. KAMPANIA 1809 r. (Wyczerpane).	30	25
414, 415.	Berta bar. Sutner. DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416.	General kwatermistrz de Pistor. PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	40	25
417, 418, 419.	Sir Edward Bulwer Lytton. ZANONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75
420, 421.	Juliusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE. Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń, 2 tomy	80	50



Tom.	CENA	
	w opr. brosz kop.	kop.
422. W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40	25
423, 424, 425. DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sieversa	1.20	75
426, 427. OPOWIADANIA CZECHOWA tłóm. T. K.	80	50
428. LARIK. J. Gadomski	40	25
429. WŁÓCZĘGA W TRÓJKE. Jerome Jerome, przeł. z ang. K. Paprocki	40	25
430, 431, 432. Z. Morawska. ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
433. Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZ- NE. Przekł. Maryi Wentzlowej	40	25
434. Maurycy Barres. POD PIKIELHAUBĄ. Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435. NEWROZA REWOLUCYJNA, według D-rów Cabanes i L. Nassa, opracowała K. Płoińska	40	25
436. Antoni Gawiński. SEN ŻYCIA. Opowia- danie	40	25
437. Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	40	25
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458, 460, 463. Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPI- SKACH I POWSTANIACH. Przekład z rosyjskiego	4.00	2.50
440. Teodor Jeske - Choiński. MAŁŻEŃSTWO JAKICH WIELE. Studium powieścio- we	40	25
443. J. Scher. Z KRWAWYCH DNI. (Komu- na paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25
446, 447. Ryszard Voss. WILLA FALCONIE- RI. Przekład M. Łaganowskiej	80	50
449, 457. A. Kuprin. POJEDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	80	50
450. Paweł Doumer. KSIAŻKA MOICH SY- NÓW, przekł. E. Węstawskiej	40	25
451. Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neu- feldówna	40	25
452, 453, 454. PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZ- NY z czasów Stanisława Augusta	1.20	75

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
455, 456.	<b>Jerzy Rodenbach.</b> DZWONNIK. Przełożył z francuskiego Zygmunt Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	80	50
459.	<b>Kazimierz Rakowski.</b> DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r.	40	25
461, 462.	<b>Grazia Deledda.</b> POPIÓŁ. Przekład z włoskiego Wili Zyndram Kościałkowskiej	80	50
464.	<b>Mark Twain.</b> SZKICE I HUMORESKI. Spolszczył Antoni J. Mikulski	40	25

### Rok 1907.

465, 466, 469, 470.	<b>Jerzy Kennan.</b> SYBERYA. Przełożył K. Ł. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.60	1.00
467, 468.	PAMIĘTNIKI KASZTELANA NARCYZA OLIZARA. Rok 1831.	80	50











14 = 800-



